



NEPAL • BOŚNIA I HERCEGOWINA • KANADA • PORTUGALIA • SUDAN • ARGENTYNA • PŁOCK • INDIE • UKRAINA • OMAN

www.poznaj-swiat.pl

Poznaj Świat

8

2018

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 34

PORTUGALIA

ZA SPOKOJNĄ RZEKĄ

str. 54

ARGENTYNA

NA KRAŃCU ZIEMI

str. 84

UKRAINA

UROKI KARPACKICH
MIASTECZEK

Nepal

**BAGMATI
DOLINA CIENI**

str. 10



BOŚNIA I HERCEGOWINA STR. 18
MOSTY POJEDNANIA I NIENAWIŚCI

KANADA STR. 26
WŚRÓD ŻYWYCH WÓD

POLSKA STR. 64
ZAPATRZONY W WISŁĘ

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802

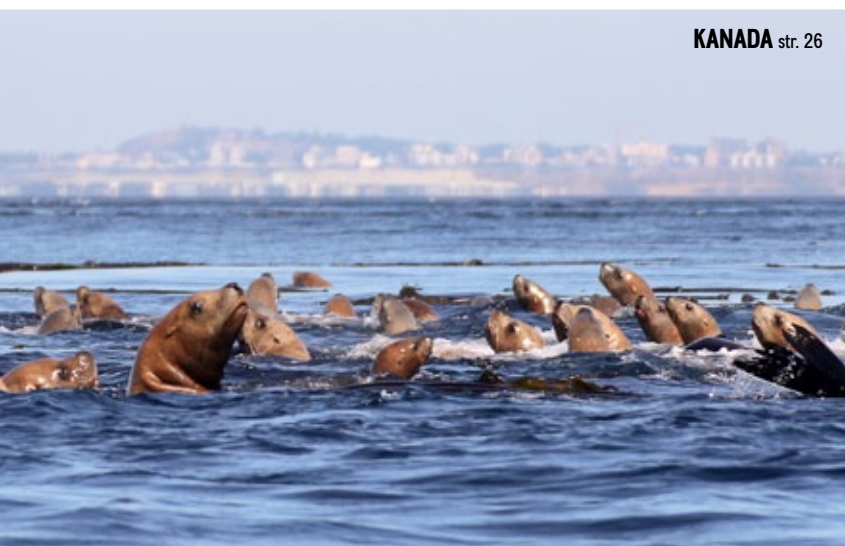




Pobierz aplikację
Publico24 Newsstand
i czytaj **Poznaj Świat**,
gdziekolwiek
masz ochotę



W NUMERZE



KANADA str. 26



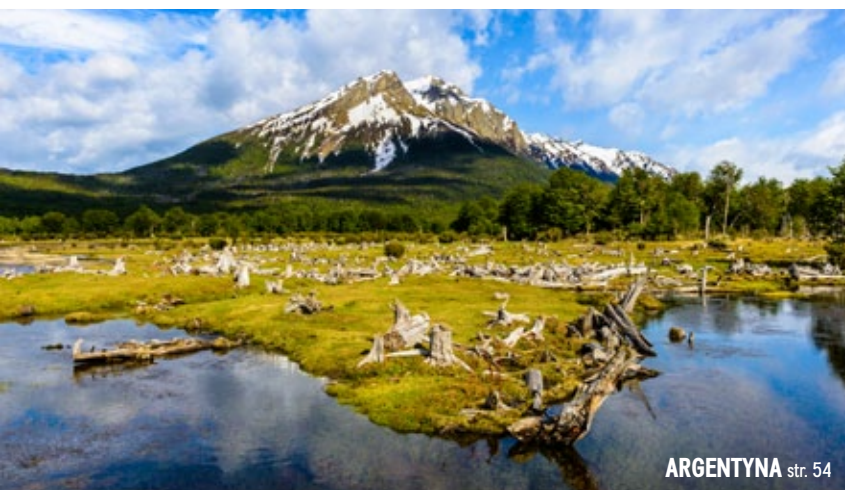
PORTUGALIA str. 34



OMAN str. 94



SUDAN str. 44



ARGENTYNA str. 54

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia
naszych Czytelników

POZNAJ ZWYCZAJ str. 10

Hinduistyczne rytuały
pogrzebowe są niezwykle.
Magdalena Zelewska

BOŚNIA I HERCEGOWINA str. 18

Mosty pojednania
i nienawiści.
Jerzy Machura

KANADA str. 26

Wody w okolicach wyspy
Vancouver zamieszkuje
bogactwo ryb, ptaków
i ssaków.
Mikołaj Szoszkiewicz

PORTUGALIA str. 34

Alentejo to bardzo
malowniczy
i spokojny region.
Magdalena Żelazowska

GEOSKOP str. 40

SUDAN str. 44

W królestwie
czarnych faraonów.
Elżbieta i Piotr Hajduk

PODRÓŻNOŚCI str. 52

Krótkie studium bezruchu.
Felietaon Magdaleny
Żelazowskiej

ARGENTYNA str. 54

Ushuaia – miasto
na końcu świata.
Monika Szczygalska

NAVIGATOR str. 60

POLSKA str. 64

Płock potrafi zauroczyć
typowo polską, kameralną
architekturą i historią.
Marta Legieć

MIKROWYPRAWY str. 72

Dzień dla siebie.
Felietaon Łukasza
Długowskiego

INDIE str. 74

Piechotę na Cejlon.
Dorota Wójcikowska,
Witold Palak

POLSKA NIEZNANA str. 82

Zakopane, Zakopane.
Felietaon Mikołaja
Gospodarka

UKRAINA str. 84

Uroki karpaccich
miasteczek.
Bartosz Król

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

OMAN str. 94

Atlantyda piasków.
Zbigniew Kula

ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI str. 104

Prowadziło mnie
„Skrzydło anioła”.
Felietaon Anny Szczęsnej

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
wyznawcy
hinduizmu
w Bagmati, Nepal



Dawid Sigorski

GALAPAGOS

Muzy Darwina

Niedaleko Ekwadoru leży archipelag wysp, który od dawna pobudza wyobraźnię podróżników. Galapagos to raj i królestwo zwierząt. Na poparcie teorii ewolucji niejednokrotnie wskazywano zjawiska przyrodnicze zaobserwowane na tym archipelagu, badanym przez Karola Darwina. Zdjęcie zostało zrobione na jednej z piękniejszych plaż na wyspie Santa Cruz i przedstawia iguany morskie.



Zużycie paliwa poza miastem/w mieście/średnie: 6,3-6,9/7,1-9,0/6,8-7,5 l/100 km; emisja CO₂: 167-238 g/km*.



Wyjedź do pracy, wróć po wakacjach.

Poznaj Klasę V – samochód, którym wybierzesz się na spontaniczną wycieczkę z całą rodziną i codzienną podróż do pracy. Teraz z atrakcyjnym pakietem wyposażenia, rabatem 10 000 zł netto i 2-letnim pakietem gwarancyjnym w promocyjnej cenie**.

*Podane wartości ustalono zgodnie z określoną przepisami procedurą pomiarową. Są to „wartości CO₂ NEDC” w myśl art. 2 nr 1 rozporządzenia wykonawczego (UE) 2017/1153. Zużycie paliwa zostało obliczone na podstawie tych wartości.

**2 lata gwarancji producenta i dodatkowe 2 lata całopojazdowej ochrony gwarancyjnej do maks. 120 tys. km.



Rabat
10 000 zł netto



2 lata dodatkowej gwarancji
w promocyjnej cenie

Mercedes-Benz

The best or nothing.



Paweł Pluciński

POLSKA

Poza pazia

Papilio machaon to gatunek motyla dziennego z rodziny paziowatych. Paź królowej należy do najbardziej okazałych polskich motyli – jego samice są zwykle nieco większe niż samce, a rozpiętość skrzydeł sięga 8,5 cm. Obecnie na świecie żyje około 150 tys. gatunków motyli, z czego w Polsce ponad 3 tys.



Bartłomiej Kończak

POLSKA

Koło warowne

Nadwarciański zamek warowny w Kole powstał w XIV–XV w. Jego początkiem była budowa murowanej wieży mieszkalnej (jej datowanie przesuwane jest nawet na początek XIV w.), do której potem dostawiano mury. Zamek zbudowano na sztucznie usypanym wzgórzu. Zabezpieczał drogę prowadzącą z Wielkopolski w kierunku Łęczycy przez dolinę Warty, a załoga miała pobierać cło na rzece. Budowla była siedzibą starostów kolskich. Popadła w ruinę po potopie szwedzkim.



Jan Siemiński

HOLANDIA

Zielony tartak

Niedaleko miejscowości Zaandam znajduje się odbudowana „Wioska na grobli”, czyli skansen Zaanse Schans. Główną atrakcją są charakterystyczne wiatraki przeniesione z całej Holandii. Można tu podziwiać m.in.: Asystenta, który mieli gorczycę na musztardę, Ukoronowanego Poelenburga (na zdjęciu) – tartak, Kota, który wytwarza farby, Poszukiwacza i Różnobarwną Załogę, które produkują olej, tartak Młodą Owcę oraz dwa mniejsze wiatraki De Windhond oraz De Handel. Są tu też pomalowane na ciemnozielono lub czarno domy, stodoły i inne budynki. W niektórych znajdują się muzea i sklepy, gdzie można zobaczyć proces powstawania sera lub sabotów. Wszystkie zabudowania, chodniki, uliczki, ogródki są perfekcyjnie czyste i pieczołowicie zaprojektowane.



Justyna Nowak

KAMBODŻA

Być jak Lara

Angkor Wat jest architektonicznym pomnikiem zamierchłej kultury. Dawniej był to kraj Khmerów. Przedstawia mistrzostwo ówczesnych artystów i rzeźbiarzy. Ruiny świątyń są porośnięte przez ogromne konary drzew figowca. W tym miejscu był kręcony film „Tomb Raider” z Angeliną Jolie w roli Lary Croft.

Zdjęcie zajęło I miejsce w 14. edycji konkursu Poznaj Świat ze SKAT. Można je także oglądać do końca sierpnia na Terminalu Promowym Nynäshamn w Szwecji.

www.poznajswiatzeskat.pl



BAGMATI DOLINA CIENI

Magdalena Zelewska



Na betonowych platformach, tuż przy wpadającej do Gangesu rzece Bagmati, znajduje się kilkanaście stosów. Nieprzerwanie kremują zmarłych. Gdy martwe ciało przestaje istnieć, uwieczona w nim dusza może oddzielić się od materialnego świata i ruszyć na poszukiwanie nowej powłoki. To miejsce nazywa się też Doliną Cieni.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA



OFIAROWANIE

Kapłan wywodzący się z kasty braminów odprawia ceremonię pudzi (składania ofiary). Asystuje najbliższemu zmarłego, który został skremowany po drugiej stronie Bagmati kilka dni wcześniej.

Istotą hinduizmu jest przechodzenie przez kolejne ziemskie wcielenia, aby ostatecznie osiągnąć moksze (oświecenie) i wyjście poza wieczny krąg życia, samsarę. Status poszczególnych wcieleń zależy od punktów karmy, które zmarły zdobył podczas obecności na ziemskim padole. Gdy nie ma ich wystarczająco wiele, może pomóc ściśle trzymanie się rytuałów podczas ceremonii pogrzebowej. Jeśli jego prochy znajdą się w świętej rzece, gwarantują niemal stuprocentowe oświecenie.

ODEJŚCIE Z CZTEREMA ŻYWIOŁAMI

Pogrzeb powinien się odbyć jak najszybciej, najpóźniej 24 godziny po zgonie, a w ceremonii



CEREMONIA Z KARTĄ

Mistrzem ceremonii pogrzebowej jest najstarszy syn zmarłego, zwany *karta*. To on trzykrotnie okrąża stos żałobny, za każdym razem polewając nieboszczyka świętą wodą.

BARWY OCHRONNE

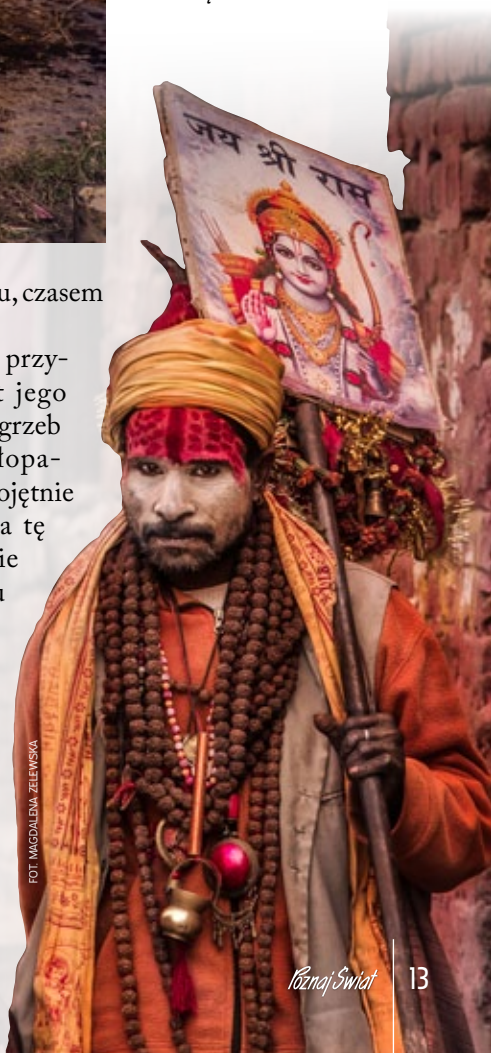
Jeden z *sadhu*, czcicieli Śiwy, patrona świątyni Paśupatinath. Niektórzy z nich malują ciała popiołem z drewna opałowego, ponieważ wierzą, że resztki ognia zapewniają im ochronę przed czyhającym zewsząd złem.

muszą wziąć udział cztery żywioły: rzecz odbywa się nad wodą i na wolnym powietrzu, stos układa się na ziemi, na kamiennych platformach (*ghatach*), a ciało jest trawione przez ogień. Ale to przede wszystkim woda ma istotne znaczenie. Powinna być święta! To ona symbolicznie zapewni duszy powrót do wód – zarówno tych płodowych, z których się wyłoniła, jak i do prawód, z których powstało wszelkie życie. Bagmati jest dorzeczem Gangesu, ma więc podobną moc jak sam Ganges dla Waranasi.

Martwe ciało jest uważane za nieczyste – przygotowują je do uroczystości jedynie przedstawiciele niedotykalnych kast. Okrywa się je całunem w kolorze pomarańczu (symbolizuje pokój) i bieli, po czym kładzie na stosie ze stopami skierowanymi na północ – w stronę Himalajów, kołyski bogów. Kciuki zwiążuje

się nitką. Do ust wkłada ziarnka ryżu, czasem cukier lub monety.

Mistrzem ceremonii (*karta*) w przypadku pogrzebu mężczyzny jest jego najstarszy syn. Matce odprawia pogrzeb syn najmłodszy. Jeśli nie ma chłopaków w rodzinie, trzeba znaleźć obojętnie jakiego mężczyznę, który wykona tę powinność. A musi on trzykrotnie obejść stos pogrzebowy w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, za każdym razem oblewając ciało świętą wodą z rzeki Bagmati. Na koniec podpala stos świętym ogniem pochodzącym ze znajdującej się nieopodal świątyni Paśupatinath. A gdy tylko ciało w proch się obróci (zazwyczaj ogień trawi je kilka godzin),





TAJEMNICZA PAŞUPATINATH

To miejsce zostało w 1979 r. wpisane na listę UNESCO. Tajemniczy kompleks Paşupatinath tworzy, leżący na 264 ha, najstarszy w Nepalu zespół hinduskich świątyń, aśramów, statui, inskrypcji...

rozłupuje się czaszkę, a następnie zgarnia całość prosto do rzeki. Rodzina intonuje w tym czasie nabożne pieśni i mantry wedyjskie.

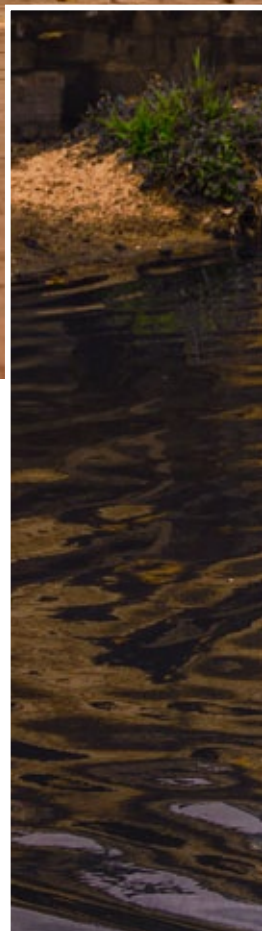
Po tak odprawionym obrzędzie kobiety odbywają rytualną kąpiel, *karta* goli sobie głowę i przyobleka białą szatę, a wszyscy – już w domu – kontynuują recytacje mantr i składanie ofiar. Uroczystości pogrzebowe trwają zazwyczaj 10 dni.

Trzynastego dnia po śmierci odprawia się ceremonię zwaną *śraddha*, po której

rodzina wraca do normalnego życia. O długości i przebiegu samej żałoby decyduje jednak przynależność do określonej kasty.

NIE KAŻDY MUSI SPŁONAĆ

W mętnej wodzie u podnóża platform kremacyjnych stale brodzą grupy dzieci, a niekiedy





FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

i dorośli, mając nadzieję na znalezienie monety wetkniętej wcześniej w usta jednego ze spopielonych. Czasami liczą, że trafią na jego złote zęby, a może i cenną biżuterię. Ta ostatnia, zważając na fakt, że ma dla zmarłego dodatkową moc oczyszczającą, trafia się dość często.

Kobiety uczestniczą w ceremonii z pewnej odległości. Jeszcze w XIX w. zbliżały się jednak aż zanadto. Wtedy praktykowano rytuał zwany *sati* (co dosłownie znaczy „dobra żona”). Podczas niego małżonka żywcem dawała się spalić wraz ze zwłokami męża. Żywot wdowy w tradycji hinduskiej był (i jest) bardzo ciężki, wiele kobiet wołało więc zakończyć go w ten właśnie sposób, niż przez długie lata cierpieć biedę i upokorzenia.

Nie każdy jednak musi spłonąć w ogniu nad Bagmati lub Gangesem, żeby być zbawionym. Dzieci poniżej 10. roku życia, kobiety ciężarne czy święci mędrcy – jako istoty nieskazitelne i niewymagające oczyszczającego działania ognia – mogą skończyć na dnie świętej rzeki w całości, obarczone jedynie solidnym kamiennym obciążeniem. W niektórych wypadkach mogą też, naszym zwyczajem,

ZOSTAJE PROCH I PAMIĘĆ

Pochodzący z kasty niedotykalnych przeczesują rzekę w poszukiwaniu niestrawionych przez ogień złotych zębów, biżuterii czy monet należących do zmarłych.



FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

KU OCZYSZCZENIU

Pielgrzymi z całego kraju przybywają nad wody Bagmati, aby doznać oczyszczającej mocy kąpieli. Wierzą, że dzięki niej zmyją wszelkie dotychczasowe winy. Na zdjęciu z prawej kobiety oddają się rytualnej ablucji w wodach tej świętej rzeki.





FOT. MAGDALENA ZELEWSKA

zostać pogrzebane. Zdarzają się bowiem ofiary morderstwa, samobójstwa czy przemocy, których palic nie ma co, ponieważ ich dusze – bez względu na to, co stanie się z ciałem – nigdy nie zaznają spokoju. Tych najzwyczajniej chowa się w ziemi.

SELFIE Z ASCETĄ

Paśupatinath jest nie tylko miejscem ostatniego pożegnania dla nepalskich hindusów. Jest również celem licznych pielgrzymek. To najstarsza i najważniejsza hinduska świątynia w Nepalu, którą odwiedzają wielkie rzesze wiernych z całego świata. Dodatkowo

każdy, kto chciałby „wspomóc” swoją karmę, prosi o rozsypanie własnych prochów właśnie tutaj.

Wstęp do głównych miejsc kultu, co zrozumiałe, jest dla innowierców zabroniony. Warto mimo to pokręcić się między licznymi kapliczkami, poprzyglądać fantazyjnym wędrownym ascetom *sadhu*, z którymi za odpowiednią opłatą można nawet zrobić sobie kolorowe selfie. No i przede wszystkim przyjrzeć się wszechobecnym tutaj rudym małpom, które – jak przystało na świątynię poświęconą Paśupati (pierwotne wcielenie Śiwy jako pana żywych stworzeń) – żwawo reprezentują swego patrona. ○



Magdalena Zelewska

Absolwentka filologii polskiej na UMK w Toruniu i MJM Graphic Design w Paryżu. Laureatka licznych konkursów fotograficznych w Polsce i za granicą. Zafascynowana ludami plemiennymi, odbyła wiele podróży do takich krajów, jak Etiopia, Ekwador, Indonezja, Birma czy Papua, czego efektem jest cykl zdjęć „Into the Tribes”. Mieszka w Paryżu.

EUROPA | Bośnia i Hercegowina

Jerzy Machura

MOSTY POJEDNANIA I NIENAWIŚCI



FOT. JERZY MACHURA



– Ten most to była jedna z ofiar wojny. Mogłeś nie wierzyć w Boga czy w przeznaczenie, ale wierzyłeś w ten most – mówi z nostalgią poznany w kafejce mieszkaniec Mostaru. – On był częścią nas, nosiliśmy go w sercu...

Stary Most w stolicy Hercegowiny, Mostarze... Piękny widok! To jeden z najpopularniejszych znaków dawnej Jugosławii, umieszczany w folderach i na mapach. Teraz – tragiczny symbol tego, co jeszcze niedawno działo się na tych ziemiach. Kiedy w 1992 r. Bośniacy i Chorwaci rozpęтали walkę na śmierć i życie, płynąca przez miasto Neretwa utworzyła naturalną linię frontu. Most był w rękach muzułmanów i w listopadzie 1993 r. stał się celem chorwackiej artylerii. Zawalił się po godzinach ciężkiego ostrzału, a potem rozsypał w ciągu niespełna minuty.

SERCE MIASTA

Na szczęście to już czas przeszły, a te tragiczne chwile można oglądać jedynie w pobliskim muzeum, gdzie przez cały dzień jest pokazywany krótki film o tym wydarzeniu. Dziś most stoi na nowo, bo dzięki pomocy społeczności międzynarodowej odbudowano go i 23 czerwca 2004 r. uroczystie otwarto.

Ludzie nie chcieli żyć bez niego. Bo to nie tylko przejaw odbudowy miasta i pojednania między zachodnią (chorwacką) a wschodnią (muzułmańską) jego częścią. Mosty odgrywały i nadal odgrywają w społecznościach dawnego imperium otomańskiego wielką rolę. Rolę serca miasta.

Opowiadał o tym pięknie Ivo Andrić, laureat Nagrody Nobla, uznawany za literackiego kronikarza dziejów Bośni. W „Moście na Drinie”, opiewającym życie w Visegradzie, pisał: „(...) to miejsce pierwszych marzeń miłosnych, pierwszych spojrzeń przelotnych, zaczepk i szeptów. Jest to miejsce pierwszych interesów i zakupów, sporów i porozumień, spotkań i wyczekiwań. (...) Nie było wesela ani pogrzebu, żeby idąc przez most, nie zatrzymały się (...)”.

– *Mostar ma długą historię* – rozpoczyna opowieść przewodnik Vaso Bokun. – *Założono go w połowie XV w. dookoła drewnianego mostu nad Neretwą, strzeżonego przez strażników, tzw. mostarów. Był to okres tureckiej dominacji na Bałkanach. Pod koniec XVI w. Mostar stał się jednym z najbogatszych miast w Hercegowinie. Słynni byli tutejsi złotnicy i kowale. Nie mniejszą sławą cieszyli się krawcy, którzy szyli bogate stroje orientalne. Kultura islamska mieszała się z wpływami katolicyzmu i prawosławia. Wielu Chorwatów oraz Serbów zmieniło wówczas wyznanie. Jedni musieli w ten sposób ratować życie, inni postąpili tak, by uzyskać od tureckich zarządców przywileje. Stali się więc muzułmanami, a w czasach pluralistycznej Jugosławii wspólnotę wyznawców Allaha uznano wręcz za naród.*

Kamienne domy, kamienne brzegi Neretwy i łączące je kamienne mosty; meczety z iglicami minaretów, a obok muzułmańskie cmentarze – wszystko to tworzy kompozycję budzącą zachwyt. Miasto przedzielone rzeką leży w dolinie. Z daleka nie widać, żeby toczyły się tu ciężkie walki, ale im bliżej, tym zniszczenia stają się wyraźniejsze. Pozostałe po wybuchach ruiny stoją niczym znicze wśród nowo wybudowanych budynków. Te obrazy wywołują smutek i zadumę. Dziwi też fakt, że w niektórych podziurawionych kulami domach nadal żyją i pracują ludzie, jakby nie chcieli zacierać śladów wojny.

– *Kamienny most Turcy nazwali Kudret Kemer, czyli Cudowne Sklepienie* – kontynuuje



przewodnik. – *Zbudował go turecki architekt Numar Hajrudin, na rozkaz sultana Sulejmana Wspaniałego, któremu był potrzebny wytrzymały most do transportu wojsk i towarów. Budowę zakończono w 1566 r. Neretwa jest bardzo rwąca i niebezpieczna. Każdej zimy z górskich potoków wpływa do niej mnóstwo wody i niełatwo przewidzieć, jak silny będzie nurt. Według legendy pierwsze rusztowanie,*



drewniane, nie wytrzymało i most runął, a wraz z nim zginęło wielu robotników. Wtedy sultan zagroził, że zabije Hajrudina, jeśli jego most się zawali...

Jak na tamte czasy Hajrudin zbudował jeden z najbardziej skomplikowanych kamiennych mostów świata, budzący podziw dla kunsztu i myśli architektonicznej. Może był to też efekt oryginalnej osmańskiej zaprawy,

złożonej – jak głosi legenda – z wapna, białka jajek, koziej sierści i mączki kostnej?

Gdy tylko ostatnia wojna ucichła, ludzie znów chcieli przechodzić na drugą stronę rzeki. Francuscy saperzy zbudowali więc kładkę zawieszoną na metalowych linach. I szybko wrócono do starej tradycji skoków do zimnej Neretwy, najpierw z kładki, a potem już z mostu.

MIĘDZY WSCHODEM A ZACHODEM

Przejście przez most w Mostarze to symboliczny i naznaczony krwią styk dwóch cywilizacji. Z jednej strony bośniaccy muzułmanie, z drugiej chorwaccy chrześcijanie...



TROCHĘ JAK W BELFAŚCIE

W uroczystości otwarcia uczestniczyli przedstawiciele różnych religii, politycy i koronowane głowy (m.in. brytyjski książę Karol). Nim jednak most przywrócono Chorwatom i Bośniakom, a wraz z nimi turystom z całego

świata, było wiele problemów z jego wzniesieniem. Hajrudin zabrał swoje sekrety do grobu. Nigdy nie odnaleziono jego planów, a jedynym zapisem, z jakim mogli pracować architekci, były księgi rachunkowe, gdzie dokumentowano nabywane materiały.



ultradźwiękowa określiła zaś, czy nadają się jako część nowego 300-tonowego przesła. Ponad 1000 nowych bloków skalnych przetransportowano też z kamieniołomu koło Mostaru. W żmudnych pracach uczestniczyli inżynierowie z Włoch i Niemiec, a z Turcji doświadczeni kamieniarze.

Dzięki odbudowie mostu miasto odzyskało duszę. Bo jego zburzenie zawsze będzie uważane za symbol nienawiści etnicznej. Miało to dać nadzieję na wspólną przyszłość. Ale czy realną? Społeczność Mostaru jest nadal podzielona niczym w Belfaście – oddzielne szkoły, firmy, szpitale, a nawet komunikacja miejska i straż pożarna. Choć dzwony kościołów mieszają się z nawoływaniem muezzinów, to muzułmanom na przykład nie podoba się, że nad miastem, ze wzgórza, dominuje ogromny krzyż.

I znów, wracając do Ivo Andrića, warto przypomnieć jego słowa z opowiadania „List z 1920 roku”, gdy pisał o niewidzialnej granicy dzielącej na Bałkanach miłość i nienawiść – o tym, że „*pod powierzchnią czułości i tkliwej namiętności (...) rodzą się i czekają swojej godziny huragany spętanej i skondensowanej nienawiści*”.

Młodzi mieszkańcy Mostaru chyba nie do końca dzielą nadzieje związane z odbudową mostu, skoro za symbol pojednania obrali sobie... mistrza kung fu Bruce’a Lee. Jego pomnik, który miał symbolizować przyjaźń, lojalność i sprawiedliwość, został odsłonięty 26 listopada 2005 r., w 65. rocznicę urodzin mistrza. Stał na placu Hiszpańskim, w centrum miasta, blisko linii frontu wojny z lat 1992–95, ale wkrótce go... ukradziono.

Turcy osmańscy nazywali Bośnię „mroczną prowincją”. Dziś to nadal bardzo egzotyczna część Starego Kontynentu. Kto chce choć przez chwilę chłonąć atmosferę Orientu – niech odwiedzi Mostar, w tym Stary Most, który niczym ten nad cieśniną Bosfor, łączy mentalną Europę i Azję.

NIE TAKA MROCZNA...

Bośnia to nadal najbardziej egzotyczna, pełna orientalnego uroku część Europy. Nawet Turcy osmańscy doceniali jej odmienność, nazywając „mroczną prowincją”. Na zdjęciu rozległa panorama miasta Trebinje oraz cerkiew, zwana Hercegowińską Gračanicą.

Węgierscy nurkowie ze SFOR sprawdzali, w jakim stanie były kamienie na dnie rzeki, i te dobre wyciągano na brzeg. Wokół gromadziło się wielu mieszkańców, bo z tymi kamieniami łączył ich emocjonalny związek. Udało się odzyskać 10 proc., analiza

WINO Z MONASTYRU

Jeśli jedziemy do Bośni i Hercegowiny, to najczęściej z pielgrzymką do Medjugorje, a przy okazji odwiedzić właśnie Mostar i jeszcze Počitelj (pozostałości średniowiecznej twierdzy i zabytki osmańskie). A przecież



W MIEŚCIE KOWALI

Słynne sarajewskie dzbany i tygielki – dzieła miejscowych rzemieślników, prezentowane przy ulicy Kowali (Kovaci).

zaledwie 25 km na wschód od popularnego Dubrownika znajduje się urokliwe miasteczko Trebinje. Liczy 36 tys. mieszkańców, leży nad rzeką Trebišnjica, u stóp skalistej góry Leotar (1229 m), uznawanej za symbol serbskości w Hercegowinie. Tu trzeba bowiem dodać, że jest to akurat obszar Republiki Serbskiej leżącej w granicach dość skomplikowanego politycznie terytorium Bośni i Hercegowiny.

Trebinje to oaza zieleni wśród otaczających je nagich i dzikich szczytów. Rozpościera się na wschodnim skraju fenomenu natury, jakim jest krasowe Popovo Polje, otwarte w stronę Adriatyku i dające odczuwalny powiew od

morza, co z kolei ma zbawienny wpływ na urodzajność tej ziemi.

W Trebinje też jest most, i też z czasów tureckich, podobnie jak dwa meczety i wieża zegarowa. Most Arslanagicia to jeden z imponujących zabytków tego typu – o kamiennych przęsłach, dwóch małych i dwóch dużych łukach. Co ciekawe, w latach 1965–66 został on przeniesiony bliżej miasteczka w związku z budową zapory na rzece Trebišnjica. Inną niewątpliwą ciekawostką jest to, że rzeka ta należy do najdłuższych w Europie płynących w podziemnych korytach.

Ponad 4 km od miasteczka, w kierunku na Mostar, znajduje się monastyr Tvrdoš, gdzie zakonnicy od wieków trudnią się produkcją wina czerwonego (vranac) i białego, a także lozovej (winogronowej rakii). Klasztor swoje początki wywodzi z IV–VI w. Był zdewastowany w czasie wojny wenecko-tureckiej w 1694 r., ale przetrwał do dziś, a produkowany tutaj trunek jest znany daleko poza granicami Hercegowiny, bo nawet w Australii.

SARAJEWO, SARAJEWO!

„Sarajewo, Sarajewo!” – ten okrzyk, o pięknej górskiej melodyce, pamiętamy jeszcze z telewizyjnych transmisji Zimowych Igrzysk Olimpijskich z 1984 r. właśnie w stolicy Bośni i Hercegowiny, wtedy jednej z republik Jugosławii. Wówczas to cały świat usłyszał o Sarajewie drugi raz w dziejach tego miasta. Bo pierwszy, w 1914 r., a dokładnie 28 czerwca, kiedy 19-letni serbski nacjonalista Gavrilo Princip oddał śmiertelne strzały do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. W konsekwencji miesiąc później Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii, no i rozpoczęła się I wojna światowa.

Był i trzeci głośny powód, dla którego świat powtarzał: „Sarajewo, Sarajewo”. Od kwietnia 1992 r. do października 1995 r. miasto było pod bezustannym ostrzałem, w oblężeniu armii serbskiej.

– *Byliśmy odcięci od dostaw wody i prądu. A poruszanie się po mieście groziło śmiercią* – wspomina pani Małgorzata, Polka mieszkająca tu od wielu lat, a teraz pomagająca poznać miasto turystom z Polski. – *Najbardziej niebezpiecznym miejscem była tzw.*

Aleja Snajperów – arteria biegnąca przez miasto. Otwarty w 1993 r. 800-metrowy tunel pod lotniskiem był jedyną drogą łączącą oblężone miasto z wolną częścią kraju.

Tunel pozwolił na dostawy żywności i pomoc humanitarną dla miasta, a także był głównym kanałem przerzutowym uzbrojenia dla obrońców. Dziś jego 20-metrowy odcinek w dzielnicy Butmir można zwiedzać.

Innymi pamiątkami z tamtych lat są „sara-jewskie róże”, czyli ślady na ulicach i placach po wybuchach pocisków moździerzowych, wypełnione czerwoną żywicą – ku pamięci tych, którzy stracili tu życie.

Ale wróćmy do naszej historii mostami znaczonej, bo i tu, w Sarajewie, można ją kontynuować. Choć Gavrilo Princip swoim zbrodniczym czynem dał pretekst do światowego konfliktu, to Bośniacy uważają go za bohatera, a jeden z kilkunastu mostów przecinających rzekę Miljackę zwą jego imieniem (choć oficjalnie jest to most Łaciński).

Barwne dzieje miasta, przez stulecia pozostającego w tureckim władaniu, stanowią

o jego specyfice, a także uroku. W centrum starego Sarajewa kłębi się gwarny tłum handlujących, często w strojach ludowych o wyraźnych orientalnych motywach – mężczyźni z fezami na głowach, kobiety w kolorowych chustach i szarawarach. Turcy nazywali ten gród miastem pałacem (*saraj* po turecku to „pałac”) – tyle tu pięknych, pełnych wschodniego przepychu budowli.

W środku bazaru wznosi się największy i najwspanialszy w tym regionie meczet: Gha-zi Husrev-bega, popularnie zwany Begową Dżamią, wzniesiony w 1530 r. W południe z minaretu słychać śpiew muezzina (Sarajewo ma ok. 80 minaretów).

Bośnia to jednak nie tylko mosty i inne zabytki. To przede wszystkim zachwycająca kraina – z górami, kanionami rzek, urwiskami i skałami. Mnóstwem skał! Stare ludowe podanie mówi, że gdy Stwórca unosił się w przestworzach z dwoma workami – z ziemią i kamieniami, diabeł przedziurawił mu ten drugi, którego zawartość spadła w miejsce nazywane teraz Bośnią. ○



Jerzy Machura

Z wykształcenia prawnik. Przez wiele lat był dziennikarzem sportowym, realizując zarazem marzenia o podróżach. Interesuje się historią i kulturą Czarnej Afryki oraz basenu Morza Śródziemnego, zwłaszcza Bałkanów, które jeździł wzdłuż i wszerz.

MOST DWÓCH PAMIĘCI

Most w Sarajewie oraz muzeum upamiętniają zamach z 28 czerwca 1914 r., który stał się iskrą rozpalającą I wojnę światową. To miejsce dla jednych tragiczne, dla drugich heroiczne.





WŚRÓD ŻYWYCH

Błękitnoszare szczyty wyrastały nad samym morzem. Przynajmniej tak mi się wydawało, ponieważ znajdowałem się w odległości 20 km od wybrzeża USA. Przede mną wznosiły się góry Parku Narodowego Olympic. Za mną, w dużo bliższej odległości, południowy brzeg wyspy Vancouver. Byliśmy otoczeni przez jedno z najbogatszych przyrodniczo wód na świecie. Fale rytmicznie uderzały w naszą czteroosobową motorówkę.



WÓD

Mikołaj Szoszkiewicz

FOT. MIKOŁAJ SZOSZKIEWICZ

Wyróżnialiśmy się na tle innych łódek wypływających na ocean. Te, które mijaliśmy, były albo małymi kutrami rybackimi, albo żółtymi pontonami firm turystycznych oferujących oglądanie wielorybów. Załoga naszej motorówki nie miała ani jednej wędki, za to cztery pary lornetek. Przeczesywaliśmy stada mew, atakujących ławice ryb. Wśród licznych jasnych ptaków dostrzegliśmy jednego małego i czarnego. Wyminął

mewy i ukazał nam swój wielki, pomarańczowy dziób. Rozpędzony minął naszą łódź, nie pozwalając dostrzec szczegółów upierzenia.

TO, CO LATA I CO PŁYWA

Silnik motorówki zawył i wszystkich wcisnęło w plastikowe krzeselka, równie niewygodne jak w kajaku. Popędziliśmy za maskonurem. Avery, jeden z ornitologów, stał z lornetką w gotowości i śledził ptaka. – *Usiadł na wodzie!*



STAN KRAŃCOWY

Park Narodowy Olympic znajduje się na zachodnim krańcu USA, w stanie Waszyngton. Z kanadyjskiego brzegu można podziwiać jego strzeliste góry schodzące wprost do oceanu.

500 m od nas! – krzyknął z przejęciem. Ostro skręciliśmy i zbliżaliśmy się, rozganiając przy okazji stada mew kalifornijskich. Tworzyły grupy – młodociane ptaki trzymały się bardziej doświadczonych rodziców, z pięknym, dojrzałym ubarwieniem i czarnymi końcami skrzydeł. Wśród mew znajdowały się również mniejsze czarnuszki – nurzyki. Podrywały się niezgrabnie do lotu, a następnie przeleciawszy

kilkadzieсят metrów od łodzi, wpadały z łoskotem w fale.

Dopłynęliśmy do naszego celu – maskonura złotoczubego. Jego głowę zdobiła złota grzywa, która sprawiała wrażenie, jakby była misternie ułożoną fryzurą. Biała maska wokół oka i jaskrawopomarańczowy dziób – wszystko razem sprawiało wrażenie niezwyklej elegancji i stylu modnego nowojorczyka, udającego się do jednego z teatrów na Broadwayu. Unosząc się na falach, popatrzył na nas, obrócił się na chwilę bokiem do obiektywów, a następnie zerwał do lotu. I tyle żeśmy go widzieli.

Popłynęliśmy dalej, a wokół nas znowu pojawiły się mewy. Przelatywały nad nami, przeganiały się i walczyły o jak najlepsze miejsce wokół łodzi – wzięły nas za wędkarzy i liczyły na resztki ryb. Są to jedne z najbardziej obfitych w życie wody na świecie. Za ogromnymi masami planktonu podążają sardynki i inne mniejsze ryby. Ich ławice zmieniają się wszystkimi odcieniami srebra i niczym zgrane zespoły taneczne poruszają się idealnie równo. W ławice wbijają się łososie pacyficzne, w zsynchronizowane stada wkłada się chaos, spowodowany rozpaczliwą chęcią przeżycia.



Do tańca śmierci dołączają kolejne zwierzęta – foki, rozszarpujące większe ryby. Jednak nawet 150-kilogramowe ssaki nie mogą czuć się bezpiecznie – w wodach wokół wyspy Vancouver pływają olbrzymi myśliwi, których niebawem miałem okazję obserwować.

Z zadumy wyrwał mnie przeciągły ryk. Dźwięk dobiegł sprzed dzioba, a chwilę później zza prawej burty. Blair, drugi z przyrodników, wskazał przed siebie. Z wody wynurzył się wielki, brązowy łeb, a po chwili cielsko. Potężna paszcza rozwarła się i ponownie przeszył mnie niski, wibrujący dźwięk. Zwierzę podrzuciło ciało do góry i zanurkowało. Ostatnią rzeczą, która się zanurzyła, była płetwa – wyglądało, jakby stwór nas pozdrawiał.

– *Co to?* – spytałem przyrodnika, urzeczonny widokiem. – *Lwy morskie. Jeden z trzech gatunków, które tutaj występują, Steller's sea lion* – powiedział Blair nonszalanckim tonem i założył okulary przeciwsłoneczne. Nie wyglądał jak ornitolog. Przypominał faceta, którego interesują raczej drogie samochody i porządny koniak. Opalony, z dokładnie przystrzyżoną bródką, droгим zegarkiem i okularami przeciwsłonecznymi à la James Bond. A jednak



FOT. MICHAŁ SZOŚKIEWICZ

największe emocje budziła w nim przyroda. Nie zapomnę błysku zachwytu w oczach na widok maskonura i miny pełnej zazdrości, kiedy dowiedział się, że Avery zaobrączkował sóweczkę dwupłamistą.

W wodach wokół wyspy Vancouver żyją trzy gatunki lwów morskich. Później, kiedy czytałem o nich w internecie, dowiedziałem się, że polska nazwa ssaka to uchatka grzywiasta. Jest ponad trzykrotnie większy od foki pospolitej, którymi urozmaica sobie rybną dietę. Dwa kilometry od brzegu wyspy Vancouver, na skałach na środku morza, znajduje się kolonia uchatek grzywiastych i kalifornijskich.

Obserwowałem je przez lornetkę i zatrzymałem się na lwie, który jako jedyny nie leżał. Podtrzymywał setki kilogramów swojego ciała na drobnych przednich płetwach i spoglądał spod przymrużonych powiek na naszą łódź. Podziwiałem idealny wytwór ewolucji, podwodną maszynę do zabijania, która paradoksalnie na lądzie wydaje się całkowicie bezbronna.

Wyraźnie mniejszy lew, leżący obok, miał ciemniejsze ubarwienie. W pewnym momencie przesunął się o centymetr za blisko potężnego sąsiada i zaowocowało to wyjątkowym starciem – na głosy. Zaskoczyła mnie gwałtowność, z jaką wielki ospały stwór odrzucił głowę w stronę rywala, otworzył paszczę i zaryczał wściekle. Napastnik odpowiedział podobnym dźwiękiem, ale mniej donośnym. Wyglądało, jakby walka miała się dopiero zacząć, jednak wystarczył ten jeden ryk, żeby sąsiad spuścił głowę i wycofał się na swoje miejsce.

Poczułem, że jest to chwila, którą zapamiętam do końca życia i będę wspominał, kiedy za pięćdziesiąt lat zawinę się wieczorem w ciepły

POCIĄGAJĄCY DZIÓB

Pięknie ubarwiony maskonur złotoczubny należy do rodziny alek. Jego kolorowy dziób jest sygnałem przyciągającym samiczki.



koc i usiądę w bujanym fotelu. Miałem okazję obserwować niezwykle zwierzęta, a o tym fascynującym ekosystemie opowiadali mi ludzie, którzy kanadyjskiej przyrodzie poświęcili całe życie. Moi trzech kompani, Avery, Blair i Susan, byli ornitologami. Razem z nimi mogłem pracować w stacji badawczej, gdzie codziennie o świcie obrączkowaliśmy ptaki. Zabrali mnie ze sobą na Pacyfik. Mogłem choć przez chwilę być częścią tego zespołu i zachwycić się pięknem tej przyrody.

POSTRACH PACYFIKU

Orki – potężne drapieżniki siejące postrach nawet wśród lwów morskich. Mimo olbrzymich rozmiarów polują w stadach, w sposób zsynchronizowany i przemysłany.

KRÓLOWE PACYFIKU

Dwa dni po pierwszej wyprawie nadarzyła się kolejna okazja na obserwację. Ornitolodzy postanowili ponownie wybrać się na wody wokół wyspy Vancouver. Pakowaliśmy się w porcie pod czujnym okiem fok pospolitych. Spoglądały z wody tęsknie, w nadziei na resztki od wędkarzy. Kiedy głód wreszcie je zmusił do polowania, nurkowały.



FOT. M. GŁAŻ, S. SZCZEPANOWICZ



FOT. M. GŁAŻ, S. SZCZEPANOWICZ



Łódź zaczęła przecinać spokojne wody zatoki Pedder. Zmierzaaliśmy na otwarte morze. Nad nami słyszeliśmy mechaniczny terkot rybaczka popielatego. Ten amerykański zimorodek jest wyjątkowo hałaśliwy i mało płochliwy, w przeciwieństwie do europejskiego błękitnego odpowiednika. Rybaczek przeleciał nad naszymi głowami, pokazując śnieżnobiały spód ciała, który kontrastował z granatowymi plecami. W pewnym momencie zawisł w powietrzu, złożył granatową koronę na głowie i spikował do wody. Dziób gładko przeciął taflę i plusk rozległ się dopiero, kiedy wpadła reszta ciała. Zimorodek zniknął na chwilę w rozbryzgu, żeby znowu wyłonić się, z trudem pokonując ciężar zmoczonych skrzydeł. W dziobie miał malutką rybkę, wściekle uderzającą na wszystkie strony. Ofiara wiedziała, że to ostatnia szansa, żeby wyrwać się z żelaznego uścisku.

Dostrzeżliśmy szczyty gór po amerykańskiej stronie. Do naszej łodzi dołączyły pierwsze mewy – najpierw kalifornijskie, a chwilę potem szaro ubarwione mewy śniade. Rudowłosy ornitolog Avery wyjął lornetkę i rozpoczęło się poszukiwanie. Skierowaliśmy się w stronę kolonii lwów morskich. Pierwszy

podniósł alarm Blair. Wszyscy zwrócili lornetki przed naszą łódź, Susan zaś, przyrodniczka, która była u steru, jeszcze gwałtowniej popędziła w stronę kolonii uchatek grzywiastych. Tym razem nie chodziło o lwy. Coś działo się wokół zamieszkaną przez nie skalnej wysepki. Uchatki wściekle uderzały w wodę, tworząc wielkie kotłowisko. Dziesiątki ssaków tłoczyły się przy skalnej wyspie. Wyglądały na przerażone.

Avery wskazał mi miejsce na prawo od kolonii. Skierowałem tam lornetkę i oniemiałem. Zobaczyłem czarne płetwy grzbietowe przecinające fale. Stado drapieżników zbliżało się w stronę uchatek. Jedno ze zwierząt wynurzyło się odrobinę bardziej, ukazując czarne, połyskujące ciało i odcinającą się białą plamę za okiem. Największe drapieżniki oceanów. Zwierzęta, które zamykają łańcuch pokarmowy na Pacyfiku, olbrzymy, których boją się nawet lwy morskie. Orki.

Przyplłynęliśmy w okolice kolonii na chwilę przed nimi. Znajdowaliśmy się zaledwie 200 m od tych wielkich walen. Orki wynurzały się i coraz wyraźniej można było dostrzec szczegóły. Wreszcie zobaczyłem

GROŹNA FAJTLAPA

Uchatki grzywiaste to potężne ssaki i niezwykle skuteczni myśliwi, choć na łodzi mogą wydawać się nieporadne.

krawędź białego brzucha, kiedy jedna z nich pokazała nam się w całej krasie. Uchatki wpadły w szal. Zaczęły ryczeć przeraźliwie, kilkadziesiąt gardłowych odgłosów naraz. Dodatkowo uderzały w toń wodną, wzbijając kłęby piany. W kolonii nastał kompletny chaos. Lwy, które leżały bezpiecznie na skałach, spod ospałych, przymrużonych powiek przyglądały się pobratymcom walczącym w wodzie o przetrwanie.

Orki błyskawicznie pokonywały kolejne metry, zbliżając się do uchatek i do nas – świadków starcia potężnych sił natury. Gejzer z otworów nosowych walenia wybuchł 50 m przed nami. Najpierw pojawiła się potężna płetwa grzbietowa, później głowa i majestatyczna biała plama wynurzona zaledwie do połowy, która nadawała orce przyjazny

Jedynym znakiem, że rozgrywała się walka o życie, był ryk lwów morskich, który niósł się po oceanie na wiele kilometrów.

Kolejna orka wynurzyła się tuż za naszą łodzią. Zwierzę było od nas na wyciągnięcie ręki. Fontannę skroplonej pary wodnej, która wystrzeliła z otworów nosowych, poczuliśmy na skórze. Mogłem podziwiać jaśniejszą plamę tuż za czarną płetwą, tak zwane siodełko. I to był znowu jeden moment. Po chwili orka zanurzyła się z powrotem w błękitnej wodzie.

Nasze spotkanie z waleniami trwało zaledwie kilka minut. Minut, podczas których nikt z nas nie powiedział ani słowa. Jedynie co jakiś czas było słychać strzały migawek aparatów. Kolejny raz orki wynurzyły się kilkaset metrów od nas. Lwy morskie jak na komendę się uspokoiły. Przestały ryczeć i teraz niezliczone

TU SĄ LWY

Rezerwat ekologiczny Race Rocks. Skalistą wyspę zamieszkują m.in. lwy morskie – uchatki grzywiaste i kalifornijskie.



wyraz pyska. Ale to bezlitosny drapieżnik. Połyskliwie ciało odbiło promienie światła i zanurkowało wprost w kłębowisko lwów morskich. Co się działo potem? Tego już nikt się nie dowie. Może pod wodą rozegrał się horror i jedna z uchatek, zupełnie przypadkowy cel w tym kłębowisku ciał i strachu, stała się ofiarą. A może drapieżnik obszedł się smakiem? Orki polują w stadach i mogliśmy obserwować zaledwie małą jego część. To, co się stało w morskich odmętach, pod kadłubem naszej łodzi, pozostanie niewyjaśnione.

głowy obserwowały, czy aby na pewno zagrożenie się oddaliło. Zwaliste zwierzęta ponownie stawały się powolne i ospałe.

PODNEBNE PASOŻYTY

Odpłynęliśmy od kolonii. Zaczęliśmy przyglądać się stadom mew kalifornijskich i śniadych z nadzieją na niecodzienny gatunek. Na horyzoncie pojawił się szerokoskrzydły kształt przypominający myszołowa. Charakterystyczna postura wydrzyka wielkiego.

Wydrzyki to podniebne pasożyty. Wy-specjalizowały się w odbieraniu pokarmu innym ptakom. Ofiarami mogą stać się nie tylko mewy, ale też alki, a nawet głuptaki, chociaż wydrzyki zazwyczaj wybierają gatunki mniejsze od siebie. Patrolują tafłę morza w poszukiwaniu innych morskich ptaków z pokarmem w dziobie. Kiedy natrafią na mewę zjadającą smaczny kasek, przystępują do ataku.

Podpłynęliśmy, kiedy właśnie nękał jedną. Ofiara zerwała się do lotu, a wydrzyk poleciał w ślad za nią. Wyręczył się i uderzył masywnym dziobem, jednak mewę uniknęła ciosu i utrzymała rybę w dziobie. Spróbowała uciec agresorowi, ale nie miała szans, masywne skrzydła napastnika przecinały powietrze i wydrzyk szybko dogonił ofiarę.

odbijających się od morskiej tafli. Kilkaset metrów dalej rybak w małym kutrze równie leniwie śledził wędkę w nadziei, że żyłka napnie się, co oznaczałoby, że smaczny łosoś pacyficzny nabrał się na przynętę. My jednak nie wypatrywaliśmy obiadu, ale kolejnego zwierzęcia. Po chwili wynurzył się koniuszek ogromnego ciała z dziurą na szczycie. Powietrze wystrzeliło z otworu, a skroplona para wodna upodobniła jego strumień do fontanny. Humbak zanurzył się z powrotem. Tafla wody ponownie wydawała się nienaruszona. Nie mogłem uwierzyć, że pod tą spokojną powierzchnią płynie stwór o wadze blisko czterdziestu ton. Po chwili wynurzył się ponownie. Fontanna wystrzeliła, a humbak pokazał troszkę więcej ciała i po chwili znowu się skrył. – *Patrz uważnie. Wziął głęboki oddech – mruknął Avery.*



Mikołaj Szoszkiewicz

Zafascynowany przyrodą (zwłaszcza obserwacją ptaków) i podróżami. Jego ukochaną formą wędrówek jest wolontariat przyrodniczy w rezerwach i ostojach ptaków. Autor bloga ptasiepodroze.eu.

Skua (inna nazwa wydrzyka wielkiego) zaatakowała ponownie. Tym razem trafiła. Mewa przekręciła się i rozpaczliwym machnięciem skrzydłami uratowała przed upadkiem do morza. Napastnik osiągnął cel – ofiara upuściła pokarm. Wydrzyk momentalnie przestał się nią interesować i spokojnie już wylądował na tafli morza i zjadł upuszczoną rybkę. Ograbiona mewę zaskrzeczała i odleciała poszukiwać innego pożywienia.

Kołysaliśmy się na falach, spoglądając w wodną toń. Oczy bolały od promieni słonecznych

Wpatrywałem się jeszcze przez chwilę w miejsce, w którym zniknął. Morze ponownie wydawało się zupełnie spokojne. Wtem ukazał się ogon, którym waleń podrzucił do góry, zafalował na wietrze i pod kątem prostym, niemal bezgłośnie schował z powrotem pod wodę.

– *Możemy wracać. Teraz nie wypłynie przez długi czas. W każdym razie widzialesz już chyba wszystko, co można na tych wodach. Wszystko poza wydrą morską.* – Mrugnął do mnie, a Blair pokierował motorówkę w kierunku stacji badawczej na wyspie Vancouver. ○

ZA SPOKOJNĄ RZEKĄ

Magdalena Żelazowska



Ta opowieść mogłaby się zacząć tak: za piękną, szeroką rzeką była sobie rozległa zielona kraina. Niektórzy mówili, że przypominała Afrykę – dzika i nieskrępowana. Ludzie byli tu trochę dziwni: na przykład jadali ser do kawy. I za nic nie chcieli słyszeć o tym, by sprzedać swoją ziemię. Cóż, trudno im się dziwić.



korkowej kory z dębów. Ciemnoczerwone drzwi dworca, pokryte niedbałą patyną czasu, trwają nieruchomo, jakby od dawna żaden spóźniony pasażer nie szarpał w zdenerwowaniu ich klamki. Coś takiego nie miałoby zresztą prawa się tu zdarzyć. Jesteśmy w Alentejo, a tu nie spieszy się nikt.

BYŁE NIE DO LIZBONY

Nazwa tego regionu Portugalii, zajmującego niemal jedną trzecią kraju, pochodzi od słów *além do Tejo* – „za Tagiem”, czyli rzeką, która płynie przez Lizbonę. Wartki nurt zabiera ze sobą pośpiech miejskich spraw, zostaje tylko cisza. Wcześniej nie powiedziałabym, że stolica Portugalii jest jakoś szczególnie rozpędzona i niesprzyjająca relaksowi. Ale Caterina jest innego zdania. Jeszcze niedawno mieszkała w jednej z centralnych dzielnic miasta i bardzo to sobie chwaliła. Do momentu, kiedy większość mieszkań w jej budynku zmieniono w pokoje wynajmowane przez turystyczne portale. Przypadkowi ludzie mijający się w drzwiach, hałasy przez całą dobę, bałagan – życie w takich warunkach stało się nieznosne. Dlatego Caterina po pięćdziesiątce zdecydowała się opuścić rodzinną Lizbonę i zatrudnić w gospodarstwie agroturystycznym Herdade da Amendoeira.

Nie sądzę, żeby brakowało jej stolicy. W Alentejo jest tak, jakby ktoś wziął Alfamę – malowniczą lizbońską starówkę – i rozrzucił ją na zielonym pustkowiu. Lśniące w słońcu białe budyneczki, ozdobione żółtymi i niebieskimi

Maleńki dworzec w Santiago do Cacém jest pogrążony we śnie, choć słońce stoi już wysoko. Wokół żywej duszy. Poranne światło podkreśla jaskrawość żółtej farby na białej elewacji. Pada na błękitne scenki z codziennego życia okolicy, namalowane na starych płytkach *azulejos*. Rozgrzane promieniami postacie zdają się leniwie przeciągać przed przystąpieniem do prac, wykonywanych niezmiennie od lat: zbierania oliwek i darcia



ŻYWE MURY

„Można tu jeszcze dotknąć żywej gliny, którą sam Bóg formował w dniu stworzenia” – tak pisarz Miguel Torga wspominał Alentejo. Glinę widać dziś w ogrodzeniach, dachówkach i kominach.

ramkami wokół drzwi i okien, ukryły się między gajami dębów korkowych i drzewek oliwnych. Na dachach z rudych dachówek, ułożonych dwustronnie na zakładkę, tak by się zazębiały, usadowiły się charakterystyczne, szerokie kominy. Kolorystycznej mozaiki dopełniają błyszczące wśród ciemnozielonych liści kule pomarańczy i polne kwiaty, jak fiołkowe żmijowce, których kobierce do złudzenia przypominają pola lawendy. A to wszystko w oprawie intensywnego błękitu nieba i granatu oceanu. Ten drugi, w przeciwieństwie do Morza Śródziemnego, nawet latem jest raczej chłodny. I dobrze, dzięki temu na plażach nie ma tłumu turystów.

KOROWANY

Właściciel winnicy Monte da Ravasqueira tłumaczy, jak okorować dąb, nie uszkadzając drzewa. W tym celu należy wyczuć dłonią naturalne pęknięcia w korze.

ĆWICZENIA Z CIERPLIWOŚCI

Przekonuję się tym, gdy próbuję sił w *stand up paddling*, czyli wiosłowaniu na stojąco, w lagunie Melides. Jej wody są płytkie i spokojne, na zaciśnionych brzegach chroni się wiele gatunków ptaków. Najtrudniejszy moment to wskoczyć na deskę i wstać do pozycji wyprostowanej.

Aby manewr nie zakończył się wywrotką, należy postawić obie stopy naraz jak najbliżej środka deski, a jednocześnie pod żadnym pozorem nie patrzeć w dół! Równowagę pomaga utrzymać właściwy chwyt długiego, pojedynczego wiosła, którym delikatnie steruję w wybranym kierunku. Spokojnie, miarowo, żadnych gwałtownych ruchów. Na początku nogi mam jak z waty, ale po paru metrach uginam



je i wczuwam się w delikatny, kołyszący ruch fal. Szybko zaczynam czuć przyjemne odprężenie. Cichy plusk wody spod wiosła sprzyja medytacji, pewnie dlatego na deskach przeprowadza się też zajęcia z jogi. Na końcu laguny czeka nagroda – rozpościera się tu kilkadziesiąt kilometrów przepięknych, piaszczystych i zupełnie pustych plaż. Cierpliwość się opłaciła.

Ta zasada obowiązuje w całym Alentejo. Tutejsi ludzie wiedzą, że na to, co dobre, warto poczekać. Tak jak na pierwszy zbiór kory z dębu korkowego, który następuje dopiero po dwudziestu pięciu latach od posadzenia drzewka. Na następny trzeba czekać kolejne dziewięć. Żeby uniknąć pomyłki, drzewo znaczy się cyframi namalowanymi białą farbą, pokazującymi rok poprzedniego okorowywania. Nie ma sensu ściągać kory wcześniej, bo musi mieć czas odrosnąć, by była dobrej jakości. A ta ma znaczenie, biorąc pod uwagę, że Portugalia jest największym producentem i eksporterem korka na świecie. Aby nie uszkodzić drzew, powinien je oprawiać tylko doświadczony specjalista, wyczuwający naturalne załamania i pęknięcia na ich powierzchni. Najlepiej robić to latem, kiedy kora łatwo odchodzi pod wpływem wyższej temperatury. Po darciu pnie mają kolor jaskrawopomarańczowy, jak zaogniona rana.

W czym tkwi popularność korka? W trwałości, elastyczności i nieprzemakalności. A także uniwersalności – w lokalnym sklepiku z pamiątkami przekonuję się, że poza butelkami wina korek sprawdza się w meblach, biżuterii, butach, torebkach, ubraniach i dekoracjach wnętrz.

PRACOCHŁONNE PIĘKNO

Na tych ostatnich świetnie zna się Maria Hortense. W wieku 19 lat, tuż po swoim ślubie, przedsiębiorcza Portugalka kupiła dom w miasteczku Arraiolos i otworzyła mały warsztat tkacki. Powstają tam tradycyjne dywany



zdobione metodą haftu krzyżkowego, którą na teren Półwyspu Iberyjskiego przywieźli Maurowie. Rzemiosło kontynuowali lizbońscy Żydzi, którzy po pogromie w XVI w. uciekli z Lizbony na południe, do Alentejo. Pracownia Tapetes Hortense działa od trzydziestu lat, niezmiennie i nieśpiesznie. Wnętrze przypomina krainę czarów – wzorzyste poduchy, kolorowe fotele i oczywiście fantastyczne dywany. Maria (to w Alentejo imię tak popularne, że stosuje się go jako synonim słowa „kobieta”) pokazuje mi jeden szczególnie okazały i wielobarwny. – *Zaprojektowanie samego wzoru zajęło mi półtora roku, a wykonanie dywanu pochłonęło osiem miesięcy* – tłumaczy. – *Na utkanie metra kwadratowego potrzeba średnio dwóch tygodni.* Cena za całość: 5 tys. euro. Niemało, ale biorąc pod uwagę nakład pracy, zastanawiam się, jak ten biznes się spina.

Moje wątpliwości są uzasadnione: w miasteczku kiedyś działało dwadzieścia fabryk dywanów, dziś zostało ich tylko dziesięć, skupiają się na eksporcie dla koneserów z zagranicy, m.in. z USA i Wielkiej Brytanii. Kiedy piję *café pingado*, czyli kawę z kropelką mleka, na

KRÓLOWA DYWANÓW

Maria Hortense Canelas poświęciła pracowni dywanów Tapetes Hortense całe życie. Wzory zdobią nawet ubranie i buty właścicielki. Można się domyślić, jak wygląda jej mieszkanie.



W STRONĘ SŁOŃCA

Żółty i biały to najpopularniejsze zestawienie kolorystyczne w zabudowie Alentejo. Tu nawet w pochmurny dzień chce się żyć!

opustoszałym ryneczku w Arraiolos, trudno mi się oprzeć wrażeniu, że coś się tutaj kończy. A może ta cisza, ten melancholijny spokój, to właśnie początek? Tak niewiele jest dziś miejsc, gdzie można usłyszeć własne myśli.

Z Estremoz znikają z kolei sklepiki z tradycyjnymi figurkami świętych ręcznie robionymi przez tutejszych mieszkańców. A dokładniej mieszkanki, bo na pomysł ich produkowania wpadły w XVIII w. kobiety, stwarzając tańszy zamiennik dla drewnianych rzeźb, które były znacznie droższe. Na nieduże, niemal kieszonkowe laleczki z gliny pomalowanej na intensywne kolory, często ułożone w miniaturowych ołtarzykach, mógł sobie pozwolić prawie każdy. Bonecos de Estremoz cieszyły się taką popularnością, że w 15-tysięcznym miasteczku do XIX w. działało kilkadziesiąt sklepików utrzymujących się tylko z ich sprzedaży. Dziś figurki można oglądać przede wszystkim w miejskim muzeum, za to trafiły na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.

WIĘZIENNE PRZYSMAKI

Kilka kroków od muzeum w Estremoz przeszłość zamieniono na przyszłość. W tutejszym zamku dziś znajduje się *pousada*, czyli luksusowy hotel należący do sieci, która od lat 50. adaptuje zabytki na stylowe i komfortowe obiekty wypoczynkowe. Wiele z nich znajduje się w dawnych klasztorach, które po kasacie zakonów w 1834 r. przeznaczono na cele świeckie. Po drugiej stronie wąskiej ulicy znajduje się restauracja A Cadeia Quinhentista. Urządzono ją w dawnym więzieniu. Dziś o mrocznej przeszłości budynku przypominają tylko krzesła nawiązujące do więziennych krat. To jedno z wielu niezwykłych miejsc w okolicy, gdzie można oddać się przyjemności powolnego smakowania lokalnych specjałów.

Alentejo stanowi potwierdzenie uniwersalnej zasady, że najbardziej regiony mają najlepszą kuchnię, bo ludzie byli zmuszeni do kreatywności. Tutejsi używali tego, czego nigdy nie brakowało, czyli ziół, ryb i chleba.



KROWIA SYMFONIA

Choć dzwonki z warsztatu Chocalhos Pardalinho nie są małe, ich wykonanie wymaga zegarmistrzowskiej precyzji. Krowom z Alentejo stoń na ucho nie nadepnął.

Obiad trwający trzy godziny to norma, bez względu na to, czy jemy w szykownej restauracji, czy małej nadmorskiej knajpce, jak Arte & Sal, gdzie szefem kuchni jest właściciel.

Najpierw przystawki: *peixinhos da horta*, czyli dosłownie rybki z ogrodu. Pod tą zagadkową nazwą kryją się fasolki szparagowe w tempurze, którą wymyślili właśnie Portugalczycy i to oni sprowadzili ją do Japonii, a nie odwrotnie. Do tego sałatka z bobu i *migas*, czyli purée z chleba. Na pierwsze danie znów chleb, tym razem w postaci zupy (*açorda*), albo soczyście zielona zupa kolendrowa. Na drugie danie ryba – pioszka lub corvina zapiekana w cieście. Do tego lokalne wino – alvarinho, viognier, periquita, trincadeira lub rabo de ovelha – nazwa tego ostatniego szczepu brzmi raczej mało apetycznie, bo oznacza owczy tyłek.

Ale w Alentejo częstszym widokiem od owiec są rudobrzęde krowy. Ich stada słychać z daleka dzięki zawieszonym na szyjach metalowym dzwonkom. Sposób ich wytwarzania

nie zmienił się od wieków (niektóre źródła datują wiek rzemiosła na 2000 lat), dzięki temu trafił na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO. Podglądam proces ręcznej produkcji w małym warsztacie w Alcaçovas. Dzwonki powstają z żelaza i miedzi, którą dodaje się do gliny i taką mieszanką oblepia żelazną czaszę przed wypaleniem w piecu.

Wykuwanie dzwonków przypomina maestrię orkiestry operowej – każda krowa powinna wydawać dokładnie ten sam dźwięk, aby stada poruszające się wolno po okolicy umiały się rozpoznać i nie mieszały ze sobą. Dzwony są ciężkie, masywne, a dźwięk zaskakująco kojący i delikatny. Kupuję miniaturkę na pamiątkę, doda nowy ton do pęku moich kluczy. Od dziś wchodząc do domu, będę myśleć o sielskiej krainie, w której też czułam się jak u siebie. A gdybym nerwowo szukała kluczy w torebce, na pewno przypomnę sobie to, czego nauczyłam się w Alentejo – że nie warto się spieszyć. 🍷



Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka. Od lat w bliźszych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”. Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



GEOSKOP

OBEJRZANE PRZECZYTANE ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

POCZTÓWKA Z KOSMOSU

A gdyby tak spełnić marzenia z dzieciństwa i wzbić się w przestrzeń kosmiczną? Móc nie tylko zobaczyć planety Układu Słonecznego z bliska, ale również dotknąć ich, zrobić im zdjęcia? Droga przez Szwedzki Układ Planetarny to ponad 1400-kilometrowa podróż wzdłuż i w głąb Szwecji. To 23 modele planet, księżyców i planetoid, zbudowanych w skali 1:20 milionów. To kilka tygodni podróży, kilkaset godzin materiału filmowego, kilka ton zdjęć. To też podróż przez szwedzkie tradycje, kulturę, obyczaje, które

zmieniają się diametralnie, im dalej od Słońca. Wyprawa zakończy się w miejscu, w którym powstaje pas startowy dla wahadłowców, czyli w Kirunie – najdalej wysuniętym na północ mieście Szwecji.

Uczestnikami wyprawy są: Aldona (operator, fotograf), Adam



(reżyser) i Feliks (1,5-letni syn) Hartwińscy, Dominik Greinert (drugi operator kamery), dziadek Aldony, emerytowany pilot i marzyciel o podboju kosmosu, oraz jego córka, a mama Aldony. Razem cztery pokolenia. www.pofikasz.pl



VESPA SOBIESZEWSKA

W dniach 23–26 sierpnia odbędzie się ogólnopolski zlot miłośników skuterów Vespa. Będzie miał miejsce na Wyspie Sobieszewskiej – pięknym terenie otoczonym wodami Zatoki Gdańskiej i odnogami Wisły. Malowniczy nadmorski krajobraz umili objazdowe wycieczki. Na terenie wyspy znajdują się dwa rezerwaty ornitologiczne: Ptasi Raj i Mewia Łacha, które będzie można zwiedzić śladami ścieżek przyrodniczo-dydaktycznych. Vespowicze, którzy wybiorą się na zwiedzanie rezerwatu Mewia Łacha, przy odrobinie szczęścia będą mogli ujrzeć wylęgającą się na plaży fokę szarą.

Cztery dni na Vespie Sobieszewskiej będą pełne atrakcji. Na osoby, które zjawiają się 23 sierpnia, będzie czekać ognisko i nocny spacer po plaży. Kolejnego dnia jest zaplanowane zwiedzanie gdańskiej stoczni i starówki. Sobota zaowocuje licznymi konkursami na terenie ośrodka, paradą w Krynicy Morskiej, rejsiem z widokiem na zachód słońca oraz jazdą na orientację, w której przy pomocy wskazówek, kawałków map i zagadek uczestnicy będą musieli odnaleźć ukryty na Wyspie Sobieszewskiej skarb.



PANNONICA — OGIEŃ NIE MUZYKA!



To 6. edycja Pannonica Folk Festival. W Barcicach nad Popradem między 30 sierpnia a 1 września odbędzie się jeden z najważniejszych festiwali muzyki etnicznej i bałkańskiej w Polsce. Co roku przyciąga liczną, kolorową, międzynarodową publiczność, szukającą wyjątkowych wrażeń i emocji, a przede wszystkim

tradycyjnej muzyki. Poza występami scenicznymi polskich i zagranicznych gwiazd mocną stroną imprezy jest tętniąca życiem wioska festiwalowa, gdzie na polu namiotowym zamieszkuje kilka tysięcy uczestników i gdzie przenikają się różnorodne formy animacji i kreacji, np. warsztaty muzyczne, rękodzielnicze, taneczne, teatralne, a także pokazy filmów, spotkania z literatami, spektakle teatralne i pokazy sztuki cyrkowej.

Program jest bogaty w wydarzenia przyjazne dla rodzin z dziećmi. Podczas festiwalu jest promowana także idea Slow Food i Slow Life oraz szacunek dla natury. Barcice,

mała, malownicza wieś położona na lewym brzegu Popradu, od 6 lat niezmiennie gości Pannonicę i jej publiczność. Kiedyś była częścią historycznego szlaku wędrówek ludów z południa na północ Europy, a dzisiaj raz do roku zamienia się w pełną życia i muzyki, kulturalną wizytówkę Sądeckizny. www.pannonica.pl

KROK DALEJ

W 2015 r. miało to być kameralne spotkanie podróżników wszelkiej maści na twierdzy w Srebrnej Górze. Miało być kilka prelekcji, koncert i dużo rozmów przy ognisku do białego rana. Tymczasem „PodRóżni – festiwal o krok dalej” co roku przyciąga setki miłośników podróży, którzy podczas trzech dni prezentacji, warsztatów i koncertów mają możliwość posmakowania wielu kultur. W tym roku pomiędzy 31 sierpnia a 2 września na ruinach zamku w Żąbkowicach Śląskich festiwal obędzie się po raz czwarty. Tak jak w przypadku poprzednich edycji, idea wydarzenia „od podróżników dla podróżników” sprawi, że każdy, kto przeżył podróżniczą przygodę, będzie miał okazję dołożyć cegiełkę do festiwalu. Po ekscytującym dniu będzie mógł się podzielić wrażeniami i doświadczeniami – jako prelegent czy podczas wieczornego ogniska. Miłośnicy bardziej ekspresyjnych form wyrażania emocji będą mieli okazję do wzięcia udziału w koncertach oraz wytańczenia się przy dźwiękach przesyconych klimatem odległych krain. festiwalpodrozni.pl



ANIOŁY I DEMONY W BUKOWINIE

To intrygująca i wielowarstwowa opowieść o Bukowinie – historycznej krainie położonej na pograniczu Rumunii i Ukrainy. Przybliży złożoną tożsamość Bukowińczyków, którzy od wielu pokoleń pielęgnują tradycję i kulturę polską na obczyźnie, gdzie zepchnięci w niepamięć, często egzystują na skraju nędzy. Publikacja podkreśla niepowtarzalną różnorodność kulturową i religijną regionu stanowiącego prawzór Unii Europejskiej. Jednocześnie buduje intrygujące podłoże historyczno-polityczne, będące nieodłącznym tłem dla tego barwnego tygla kulturowego. Opis odbytej na rowerze podróży w poszukiwaniu samego siebie Andrzeja Paradysza wzbogacił o ironiczne anegdotki, własne spostrzeżenia, a także historie spotkanych ludzi. Wydawnictwo Novae Res.



ROWEREM NA DACH ŚWIATA

Pięciorosobowa grupa rowerzystów zamierza przejechać przez daleki Pamir. Trasa będzie przebiegać po terenach byłych republik radzieckich, na odludnych stepach, gdzie latem panują potworne upały, a zimą mrozy. Droga będzie się wznosić na wysokość ponad 4500 m n.p.m., między siedmiotysięcznymi szczytami. Wyprawa na dwóch kółkach pozwoli poznać ten zakątek świata. Podróżnicy planują podziwiać otwarte przestrzenie równin i stepów, zająrzeć do pasterskich jurt i wspólnie z gospodarzami napić się kumysu. Opowiedzieć Tadżykom o polskiej historii i poznać ich opowieści. Poznać tadżyckie tradycje i obyczaje, nawiązać relacje oraz pokonać własne słabości. www.Pamir2018.pl



POMORZE MNIEJ ZNANE



To pierwsza publikacja z planowanego cyklu „Cudze chwalicie, Polski nie znacie”, który ma promować regionalny i ogólnokrajowy patriotyzm, turystykę wewnątrzkrajową, polską kulturę, przyrodę, historię, zdrowy i aktywny tryb życia. Książka przedstawia Pomorze nie od strony najbardziej znanych i obleganych przez turystów atrakcji, lecz mniejszych i mniej znanych miejscowości. Na jej kartach pojawiają się oczywiście również najważniejsze miejsca, ale pokazane w unikatowy sposób.

Publikacja została zaplanowana tak, aby zainteresować zarówno

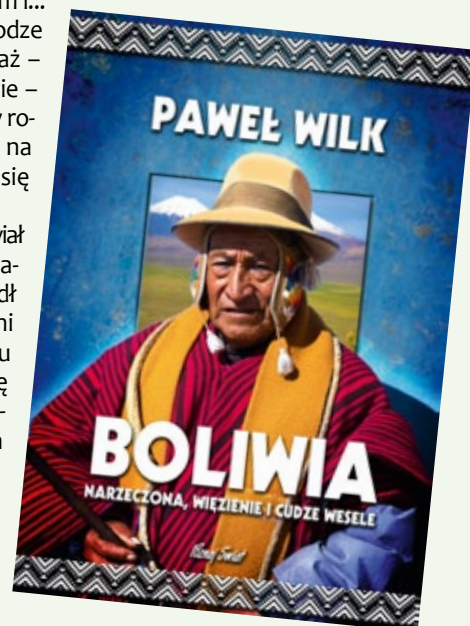
czytelników spoza regionu, jak i mieszkańców Pomorza. Przewodnik będzie zawierał m.in. szlak architektury, przyrodniczy, sakralny, śladami mennonitów i rodzinny.

Na Pomorze zaprasza Maria Giedz – historyk sztuki, konserwator zabytków, dziennikarka i podróżniczka, doktor nauk humanistycznych, wykładowca akademickiej turystyki i dziennikarstwa. Wydawnictwo Patria Media.

WIEZIENIE, NARZECZONA I CUDZE WESELE

Paweł Wilk uważa, że podróż jest piękna, gdy można się zaprzyjaźnić z tubylcami. Wędrowka zyskuje wartość, kiedy jest szansą na to, aby dać coś od siebie lokalnym mieszkańcom. Dlatego zgłosił się na wolontariat w... boliwijskim więzieniu. Spędził tam sześć miesięcy. Miał w związku z tym okazję powitać Nowy Rok w boliwijskiej dżungli, uczestniczyć w tradycyjnym weselu, poznać sekrety kopalni w Potosí czy wziąć udział w karnawalowej zabawie w Oruro. Obejrzał też mecz na najwyższym położonym stadionie świata, zaprowadził do wioski stado lam i... spotkał kajmana w drodze do toalety. A ponieważ – zupełnie nieplanowanie – zakochał się po uszy w rodowitej Peruwiance, na jego szlaku znalazło się również Peru.

W Meksyku rozmawiał z przemytnikiem kokainy, przypadkowo wpadł w zatarg z członkami kolumbijskiego gangu oraz wypił skrzynkę piwa u Indian Lakandonów w dżungli. O tych i o wielu innych przygodach jest ta książka. Wydawnictwo Bernardinum.



Miesięcznik, który uzależnia od czytania i podróży

już od
70 lat



Mnóstwo prezentów w prenumeracie

- płacisz za 10 numerów, dostajesz **2 gratis**
- każdy numer trafi **wprost do Twojej skrzynki**
- wybierz jeden z **75 prezentów**: książki, przewodniki, gry
- **darmowa** dostawa
- prenumerata roczna **tylko 109 zł**

Prezenty zobacz tu: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

Jak zamówić prenumeratę? Telefonicznie: 583508464 lub przez stronę internetową www.poznaj-swiat.pl/prenumerata.

Numer konta: 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004. Przy przelewach tradycyjnych w tytule przelewu prosimy podać: imię i nazwisko + adres + okres prenumeraty.







W KRÓLESTWIE CZARNYCH FARAONÓW

Elżbieta i Piotr Hajduk



FOT. ELŻBIETA I POTR. HADJUK

Na frontowej ścianie budynku Muzeum Egipskich Starożytności w Kairze umieszczono marmurowe tablice. Wyryto na nich imiona wszystkich wielkich władców starożytnego Egiptu. W tym wykazie pominięto jednak XXV dynastię – czarnych, nubijskich faraonów.

Nubia to tradycyjna nazwa krainy leżącej na południe od Egiptu – w granicach dzisiejszego Sudanu. Przez tysiące lat rozwijała się tu cywilizacja, która w końcu rzuciła na kolana potężne imperium. To z tej pogardzanej, nędznej kolonii, zwanej Kusz, pochodzą władcy, którzy ośmielili się podbić sąsiada.

Oba państwa od zawsze łączyły burzliwe stosunki, nie tylko handlowe. Egipcjanie zazdrosnym okiem patrzyli na krajanów z południa. Wszak tutaj znajdowały się bogate pokłady złota. Łupieżcze najazdy Egipcjan nasilały się wraz ze wzrostem potęgi ich kraju. Stopniowo przejmowali kontrolę nad Nubią, narzucając jej swoją religię i kulturę.

ZJESZ, CO CHCESZ!

Południowa granica kraju faraonów przebiegała opodal starożytnego miasta Napata, niedaleko IV katarakty na Nilu. Założył je Totmes III, w miejscu uznanym przez Egipcjan za święte. Dzisiaj wznosi się tu miasto o dźwięcznej nazwie Karima. Położone między dwiema pustyniami, z daleka od wszystkiego, ma swój klimat i warto je odwiedzić.

Na przedmieściach, w zakurzonych uliczkach, drzemią niskie budynki. W centrum jest jednak ludno i gwarnie, bo Karima to miasto handlowe. Na lokalny targ zjeżdżają mieszkańcy dalekich wiosek, przychodzą też miastowi. Ruch w interesie jest codziennie. Nawet w piątek, święty dzień dla muzułmanów, nie ma problemu z zakupami.

BEZ SFINKSA?

W Sudanie jest znacznie więcej piramid niż w Egipcie, w tym najslawniejsze nekropole w Meroe. Niestety, część z nich zniszczył już zachłanny pustylny piasek.

Na obcych miejscowi patrzą z życzliwym uśmiechem. – *Skąd jesteście?* – zagadują po angielsku. – *Jak się wam podoba w Sudanie?* Nienachalnie zachęcają też do zakupów.

Na targowisku panuje określony porządek. Bliżej centrum, w części przemysłowej, można kupić buty, ubrania, koce. Galabije są szyte na miejscu, na elektrycznej maszynie ukrytej w głębi sklepu. Dla eleganatów są dostępne ciemne kamizelki bez rękawów, zdecydowanie dodające szyku. Buty to także wyrób lokalny. Fasony raczej jednakowe, ale do wyboru jest chociaż materiał – skóra lub skaj. Wzdłuż rzeki, na piaszczystej drodze są wystawione na sprzedaż artykuły wyposażenia wnętrz – ozdobne, metalowe łóżka czy misternie wykute bramy.

Nieco dalej znajduje się plac spożywczy. Kolorowe sterty owoców i warzyw kuszą barwą i zapachem. Na kupców czekają też żywe zwierzęta – kozy, owce, kury. Tutaj panuje największy ruch. Kupujących raz po raz mijają pojazdy dostawcze – małe trzykołowe tuk-tuki lub zaprzężone do dwukółek osiołki.

Na ruchliwej drodze o wypadek nietrudno. Tuk-tuk, włączając się do ruchu, zahacza tyłem

o ciągniętą przez osła przyczepkę. Ta wywraca się i pociąga za sobą zwierzę. Z wózka wypadają wypakowane zieleniną worki. Ziemniaki i cebula toczą się po jezdni, utrudniając ruch. Z całego ambarasu najszybciej otrząsa się właściciel. Zrywa się z drogi, otrzępuje z kurzu i próbuje podnieść osła, ciągnąc zwierzę za ogon. Ogłupiały czworonóg niepewnie wstaje. Teraz kolej na wóz i po chwili sytuacja jest opanowana.

W knajpce obok targu, pod rozłożystymi drzewami, z odpoczynku korzystają sami mężczyźni. Gromadnie obsiadają krzeselka wokół niedużych stolików i zawzięcie dyskutują. Konwersację umila im słodka i mocna herbata, podawana w małych szklaneczkach. Dla spragnionych ochłody jest też zimna woda w specjalnych dzbanach lub w zawieszonych na metalowym stojaku konewkach. Głos muezzina z pobliskiego meczetu nie robi na nikim wrażenia. Mężczyźni są zajęci rozmową, przerywaną popijaniem gorącego napoju.

Podobne knajpki w Sudanie są wszędzie. Podają wielbłąda czy kozę, a nad Nilem – pieczone ryby. Jadłodajnia z rysunkiem sympatycznej owieczki na szyldzie oferuje baraninę.

CZEKAJĄC NA...

Na lokalnym targowisku w Karimie handel kwitnie od świtu do późnego popołudnia.



FOT. ELŻBETA / PIOTR HAJDUK

Tuż pod nim, w oczekiwaniu na klienta, wiszą tusze zwierząt. Mięso jest przyrządzane na zamówienie. Kiedy trafia się chętny, kucharz odkrawa stosowną porcję, waży, a po zainkasowaniu należności przystępuje do działania. Mięso należy rozdrobnić tasakiem na nieduże kawałki wielkości kęsa, tylko takie są wygodne do jedzenia, bo noży przecież nikt tu nie używa. Pokrojone i odpowiednio przyprawione, trafia na grill. Klient w tym czasie zajmuje miejsce przy jednym z licznych stolików i umila sobie czas oczekiwania pogawędką z sąsiadami. Upieczone mięso jest podawane w towarzystwie nieodłącznej fasoli, cebuli i chili. Do tego świeże bułki z pobliskiej piekarni.

KLUCZNIK ŚWIĘTEJ GÓRY

Pod samym miastem z kamienistej równiny wyrasta stroma góra, zwana Jebel Barkal. Jej południowa strona jest zwieńczona strzelistą iglicą o kształcie przypominającym kobrę w koronie. Ten wąż był dla Egipcjan symbolem tak ważnym, że jego wizerunki umieszczano w koronach władców.

Najeźdźcy uznali tę górę za miejsce narodzin najważniejszego egipskiego boga – Amona Ra, co w ich oczach usprawiedliwiało podbicie kraju Kusz. U stóp Jebel Barkal wzniesli świątynię, w której odbywały się ceremonie koronacyjne. Do dziś zachowały się resztki kamiennej alei z lwami o głowach baranów, częściowo poprzewracane kolumny i zwaliska murów.

Mohamed jest tutaj jedynym strażnikiem. Spędza wśród ruin całe dnie. To jego praca. Musi pilnować, aby turyści uiszczali za wstęp zawrotną opłatę, czyli równowartość dziesięciu dolarów. Poza tym niektórzy miejscowi, zwłaszcza dzieciaki, nie potrafią uszanować niszczonego zabytku. Gdyby nie Mohamed, bezkarnie łaziliby po murach. W okolicy Jebel Barkal zawsze coś się dzieje i mężczyzna nie może narzekać na brak zajęcia. To na przykład ulubione miejsce młodych Sudańczyków, zwłaszcza o zachodzie słońca. Przecież z rozległego, płaskiego szczytu rozciąga się wspaniały widok na pustynię i płynący w pobliżu Nil.

Ale Mohamed strzeże nie tylko ruin. Świąta skała ukrywa wspaniałe tajemnice, ściśle

związane z historią jego kraju. Losy wielkich imperiów bywają zmienne. Kiedy Egipt zmagał się z inwazją obcych wojsk, Kuszyci ogłosili niezależność. Napata stała się sercem nubijskiego królestwa, zjednoczonego pod berłem miejscowych władców. Jeden z nich, król Pianchi, wykorzystał kolejny zamęt w kraju faraonów, by podbić osłabione mocarstwo. Obalił dynastię egipską, ogłosił się faraonem i założył XXV linię czarnych, nubijskich królów. Świątynia u podnóża Jebel Barkal stała



FOT. ELZBETA I POTR HADJUK

się religijnym centrum nowego kraju. Czarni faraonowie dołożyli własną cegiełkę do tej budowli. Najsłynniejszy z nich, Taharka, syn Pianchiego, kazał wykuć w skale góry niedużą kaplicę na cześć bogini Mut, uchodzącej za oblubienicę Amona.

Mohamed dzierży klucze do wnętrza góry. Czasem otwiera wrota do swojego sezamu i pokazuje go przyjezdnym. Za niepozornym wejściem, schowanym między ruinami świątyni, kryją się piękne płaskorzeźby

pokryte kolorowymi malowidłami. Strażnik czuje słuszną dumę, kiedy widzi zachwyt w oczach obcych. Żałuje przy tym, że tak słabo zna angielski. Opowiedziałby im historię swojego kraju, zakłęta w tych wspnianych wizerunkach. Oto na przykład scena z koronacji pierwszego nubijskiego faraona – Pianchiego: bóg Amon o głowie barana podaje nowemu władcy dwie egipskie korony, czerwoną i białą, symbolizujące górny i dolny Egipt.

PIRAMIDY... PRZYPRAW I OWOCÓW

Kolorowe sterty kuszą barwą i zapachem. Sprzedawcy w białych galabijach i tradycyjnych nakryciach głowy cierpliwie czekają na kupujących.



HISTORIA ZAKŁĘTA W SKALE

We wnętrzu świętej góry Jebel Barkal są ukryte starożytne płaskorzeźby pokryte malowidłami. Przedstawiają sceny sławiące historię czarnych faraonów XXV, nubijskiej dynastii.

GINĄCE NEKROPOLIE

Nubijczycy przejęli nie tylko religię, ale także obyczaje północnego sąsiada. Powszechnym stało się budowanie piramid jako miejsc ostatniego spoczynku dostojników. Okazuje się, że w Sudanie jest ich znacznie więcej niż w samym Egipcie. Kilka znajduje się w Jebel Barkal, lecz właściwe królewskie nekropolie powstały nieco dalej – w Al-Kuru i Nuri.

Ta pierwsza jest prawie całkowicie zniszczona. Mimo tego doktor Samu Amin, ciemnoskóry szef ekipy archeologów, próbuje odtworzyć historię ukrytą w resztkach budowli. – *Piramidy uległy dewastacji nie tylko z powodu upływu czasu i zmiennych warunków atmosferycznych* – wyjaśnia. – *Przez całe lata miejscowi zabierali stąd kamienie do budowy swoich domów. Większość budulca znajduje się tam.* – Wskazuje ręką na pobliską wioskę.

Dziś jej mieszkańcy pomagają przy wykopaliskach. Rozumieją już, że bezcenne dziedzictwo dawnych Nubijczyków przyciąga do Sudanu turystów. A wraz z nimi napływają pieniądze.

Wąskie, strome stopnie prowadzą w dół, do komory grobowej ukrytej pod powierzchnią gruntu. – *Napatańczycy przejęli od Egipcjan sposób pochówku zmarłych, ale zachowali własne obyczaje. Nie zostawiali zmarłych w budowli, lecz pod nią.* – Naukowiec pochyła



się i patykiem na piasku rysuje przekrój konstrukcji. – *Piramidę wznoszono nad grobowcem* – podkreśla.

W Al-Kuru miejsce ostatniego spoczynku znalazł założyciel XXV dynastii, faraon Pianchi i jego najbliższa rodzina. Nie wszystkie



tutejsze groby zostały zidentyfikowane. Tam, gdzie zachowały się malowidła czy inskrypcje, sprawa jest łatwiejsza. Te bez ozdób muszą czekać na dalsze badania. Doktor Amin staje przed dużą piramidą, jedyną, która zachowała się w całości: – *Nie wiemy, kto jest w niej pochowany. Nie ma tu żadnych napisów. Nazywamy ją niedokończoną...*

Na przeciwnym brzegu Nilu znajduje się Nuri, kolejny kompleks starożytnych grobowców nubijskich władców. Niedługo był największą nekropolią, której dał początek wielki król Taharka. Jeszcze za życia sam wybrał sobie to miejsce, łamiąc tradycję pochówków w Al-Kuru. Dziś piramidy w Nuri pochłania powoli sudańska pustynia. Tylko kilkanaście z nich wznosi jeszcze swe kamienne szczyty do nieba. W innych trudno w ogóle doszukać się śladów dawnej świetności. Tutaj także trwają prace archeologiczne. Nad tajemniczym grobowcem ukrytym pod zwałami stertą gruzu grupa ciemnoskórych robotników wznosi właśnie zadanie z blachy falistej.

Po drugiej stronie cmentarzyska znajdują się ruiny piramidy Taharki – najwyższej w całym Sudanie. Miejscowe dzieciaki próbują na nie wejść, pokrzykując wesoło. Spod stóp sypią się odłamki kamieni. Nikt nie zwraca na to uwagi.

Czarnym faraonom nie udało się utrzymać rządów w dwóch krajach równocześnie.

W Egipcie doszła do władzy kolejna, XXVI dynastia. Jeden z jej władców, młody Psametyh II, najechał Nubię i podbił jej północną część. Kiedy zdobył i splądrował Napatę, miejscowi królowie przenieśli stolicę na południe, co dało początek nowemu, potężnemu państwu. O jego rozwoju i potęgę świadczy blisko pięćdziesiąt grobowców, które oparły się upływowi czasu.

Meroe to najślawniejszy kuszycki zabytek w Sudanie. Może dlatego znaczna część piramid została odrestaurowana. Te, którym przywrócono pierwotny wygląd, wznoszą się ku niebu ostrymi, trójkątnymi wierzchołkami. Ścięte szczyty innych osypują się powoli rumowiskiem kamieni. Zdewastował je pewien Włoch, który w XIX w. poszukiwał tu złota i bogactw. Nieliczne znalezione skarby znajdują się w europejskich muzeach.

Dzisiaj Sudańczycy znają już bezcenną wartość swojego dziedzictwa. Obszar tego cmentarzyska jest ogrodzony, co nieczęsto zdarza się w tym kraju, a wstęp płatny. Wyjątkiem są stada kóz, które strażnicy wpuszczają bez biletu, oraz miejscowi na wielbłądach. Między piramidami można się przejechać...

– *Siadajcie, póki pora* – zachęca wysoki Arab, prowadząc dromadera. – *Robi się późno. A kiedy zajdzie słońce, lepiej tu nie zostawać. Późną porą można się natknąć na dawnego nubijskiego króla.* ○



Elżbieta i Piotr Hajduk

Ona historyk, humanista.
On inżynier, umysł ścisły.
Zjeździli razem pół globu.
On w podróżach szuka mocnych
wrażeń, ona – urody świata.
I każde znajduje to, co lubi.
Wspólnie z córką Kasią napisali
książkę o podróży po Afryce
„Dalej są tylko lwy”.





PODRÓŻNOŚCI
Magdalena Zelazowska

KRÓTKIE STUDIUM BEZRUCHU



Nie wiem jak Wy,
ale ja jestem już po
wakacjach. Przez
resztę roku zamierzam
dochodzić do siebie.

Dni przed urlopem przypominają wirowanie w akceleratorze cząstek. Nadrabianie przyszłych zaległości w pracy (nieważne, ile by nadrabiać, i tak będą czekać po powrocie) miesza się z pośpiesznym załatwianiem spraw związanych z wyjazdem. Gorączkowe zakupy, wyciąganie z piwnicy letnich ubrań, które zdążyły podejść lekkim zapaszkiem stęchlizny, pranie i suszenie, układanie wszystkiego, dociskanie walizki, w której w końcu rozjeżdża się zamek, paniczny bieg po nową, zanim zamkną sklepy. Jeszcze ubezpieczenie, apteczka, odłączenie pustej lodówki i ustawienie autorespondera w służbowej skrzynce mailowej. Wreszcie kanapki na drogę,

których nie ma z czego zrobić, bo lodówka już opróżniona. Nastawianie budzika przed poranną pobudką, a potem kręcenie się w łóżku z boku na bok, bo jakoś nie ufamy, że zadzwoni. Wreszcie dopychanie kolanem bagażu podręcznego, w którym lądują kanapki, ładowarka i zapomniana szczoteczka. Teraz można jechać na lotnisko.

Do niedawna po przekroczeniu progu hali odlotów, nadaniu bagażu i kontroli bezpieczeństwa ogarniał mnie przyjemny stan relaksu. Przyspieszony w ostatnich dniach oddech się wyrównywał, a ja z przyjemnością zasiadałam przy nieprzyzwoicie drogiej kawie i obserwowałam innych pasażerów, wyobrażając sobie, dokąd i po co lecą. Te czasy odeszły już w niepamięć. Dziś do czasu włączenia trybu samolotowego wiszę na telefonie i załatwiam to, czego nie zdążyłam wcześniej, a po komunikacie „zapiąć pasy” wyciągam notes i robię listy przyszłych spraw, aby przypadkiem nie umknęły mi po powrocie. Czy stałam się bardziej zajęta niż kiedyś? Nie, tylko bardziej dostępna. I mniej asertywna.

A może po prostu wakacyjny galop mam zapisany w genach? Statystyczny Polak pierwszego dnia upragnionego

urlopu przebiega jak taran, aby zmniejszyć dystans dzielący go od przybasenowego leżaka. Ledwie koła samolotu dotkną powierzchni lotniska, ten skacze na równe nogi i pierwszy dopada półek na bagaż, nieczuły na upomnienia załogi. Przez dwadzieścia następnych minut stoi na baczność w tłumie takich jak on, czekając, aż wreszcie otworzą się drzwi. Slalomem mija bardziej ślamazarnych od siebie i już waruje przy pasie z bagażami, nerwowo drepzcząc w pobliżu otworu, przez który mają posypać się walizki. Złapał! Teraz szturm na autokar z biura podróży, który rozwozi gości po hotelach. I tu pojawia się szkopuł: miejsce najlepiej zająć z przodu, ale bagaż powinien trafić do bagażnika na końcu, żeby przed hotelem złapać go przed innymi i przypuścić szturm na recepcję. Z tego powodu w tej konkurencji najlepiej radzą sobie pary.

Teraz rajd na orientację z mapą hotelowego kompleksu, na której trzeba odnaleźć swój pokój. Udało się, jest widok na morze. Satysfakcja tym większa, im liczniejsza część grupy ma okna wychodzące na parking lub śmietnik. Po rutynowej kontroli czystości toalet biegiem do restauracji, bo za kwadrans kończy się wydawanie lunchu. W locie trzeba

obowiązkowo złapać ręcznik, żeby przed posiłkiem rzucić go na najlepsze leżaki przy basenie (pod parasolem, zwrócone do słońca, blisko baru, daleko od głośnika i brodzika dla dzieci), zaznaczając w ten sposób swoje terytorium do końca turnusu. Po przełykanych w popłochu kęsach, popychanych w głąb przełyku rozwodnionym piwem, następuje spotkanie z rezydentem, który układa harmonogram wycieczek na każdy dzień pobytu. Plan napięty, trzeba więc łapać każdą chwilę na słońcu, a to właśnie chyli się ku zachodowi. Zatem sprint do pokoju po kostium. Jeszcze kolejka do baru po drinka i wreszcie pac na upragniony leżak! Uff. Teraz oficjalnie można zająć się odpoczywaniem.

Ta na leżaku to ja. Pokój zabezpieczony, topografia obiektu rozpoznana, objazd wyspy rozrysowany, a dziecko właśnie udało się na poobiednią drzemkę. Mam jakieś półtorej do dwóch godzin tylko dla siebie. Od czego zacząć? Może od drinka, skoro przez chwilę mogę poudawać, że nie jestem mamą. Albo od rozmowy z innymi dorosłymi, której ostatnio tak bardzo potrzebuję. E, nie, najpierw skoczę do basenu, bo jak rozgrzeję się na słońcu, to mi się nie będzie chciało. Pływam więc, ale nie za długo, bo chcę jeszcze spróbować kilku rodzajów wina, poczytać, posłuchać muzyki i trochę porzemać. Układam się, zajmując najlepsze ustawienie pod kątem promieni słonecznych. Muszę pamiętać, by posmarować się kremem. Zanim skończę, słońce właśnie zajdzie za dużą chmurę. No trudno, leżę dalej. Obok drink, gazeta, książka i telefon ze słuchawkami. Ten ostatni zaczyna intensywnie wibrować po tym, jak na chwilę połączyłam się z Wi-Fi. Odpisuję na wszystkie wiadomości znajomych, tłumacząc sobie, że to przecież relaks. Potem pobieżnie kartkuję gazetę, wybierając szczytki artykułów spomiędzy reklam. Słońce mnie usypia, ale disco z baru nie daje zapaść w drzemkę. Idę po kolejnego drinka, po którym muszę do toalety... Zanim z powrotem zajmę miejsce na leżaku, dostaję SMS, że muszę przyjść do pokoju. Moje dziecko właśnie się obudziło.

Gdzie się podział mój relaks? Reszta urlopu jakoś nie była lepsza. Niezaplanowane dni niepostrzeżenie zapełniały się grafikami spraw do załatwienia. Rozpakowywanie, przepakowywanie toreb plażowych na każdy dzień, nadprogramowe

zakupy (zawsze są, niezależnie od *all inclusive*), rezerwacja samochodu, objazd wyspy, oddanie samochodu. Czasem telefon z pracy. Sprawdzanie rozkładu lokalnych autobusów, pilnowanie godzin odjazdów, wreszcie, nie wiadomo kiedy, potwierdzenie terminu wylotu z powrotem. Fotografowanie i postowanie na Facebooku, po nałożeniu ładniejszego filtra. Drobne, niezajmujące wiele czasu sprawy, które jednak przez cały czas utrzymują nas w trybie czuwania i nie pozwalają nawet na chwilę wypuścić sterów tak zwanej codzienności. Miałam złapać oddech, wróciłam zdyszana. Czy da się tego uniknąć? Dokąd uciec, żeby naprawdę odpocząć? Zostałabym w domu, ale znam siebie na tyle, by wiedzieć, że zaraz ruszyłabym

z praniem i zaległymi naprawami, a po dwóch dniach z przemeblowaniem. Powinnam raczej zapytać, skąd, a nie dokąd się przemieścić. Mam pewien pomysł. Wyjść z siebie i spokojnie postać sobie z boku. ☺

Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

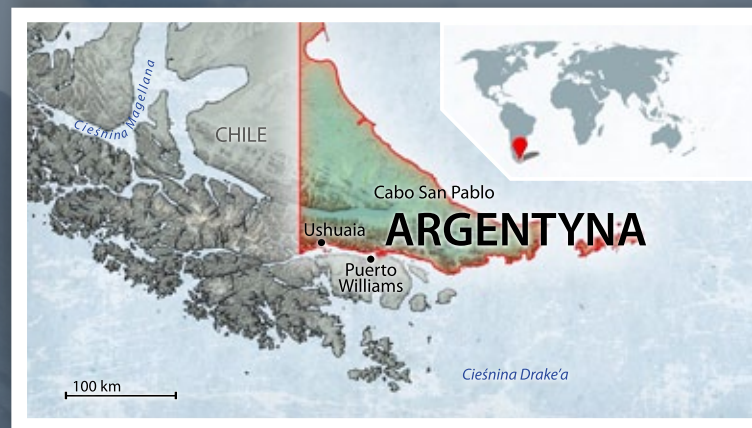
Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy www.zgubsietam.pl.



ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA

R E K L A M A





Monika Szczygielska

NA KRAŃCU ZIEMI

Srogie zimy, przenikliwe, dochodzące do ponad 100 km/h wiatry. Góry i podwodne skały, które wielu podróżników skazały na śmierć. Nieprzyjazne ludziom miejsce, a jednak tak samo jak kiedyś, po dziś dzień przyciąga. Podróżników, turystów, żeglarzy, poszukiwaczy fortuny i tych, którzy chcą zmienić swoje życie. Wszystkich wita argentyńskie miasto Ushuaia – dosłowny koniec świata.

Znajdująca się na krańcu kontynentu amerykańskiego, na wyspie zwanej Ziemią Ognistą, oddzielonej od lądu słynną Cieśniną Magellana, Ushuaia zyskała miano najbardziej południowego miasta świata. Konkuruje z nią Puerto Williams (należące do Chile), które według szerokości geograficznej leży jeszcze dalej na południe, lecz z powodu małej liczby mieszkańców (około 2800) nie ma rangi miasta.

GLEBOKA ZATOKA WYSOKICH INDIAN

Podróż z Buenos Aires, stolicy Argentyny, do Ushuaia to długie 3 tys. km ciągnące się przez Patagonię – step praktycznie niezamieszkanym przez ludzi i zwierzęta. Na trasie mija się kilka miasteczek, które dla podróżników są jedyne postojem na sen lub napełnienie baku. Nieodłącznym krajobrazem są ciężarówki nieustannie pokonujące tę trasę,

dostarczające wszystkich potrzebnych produktów do Ushuaia. O ile latem podróż zajmuje około 4 dni, zimą może trwać ponad tydzień. Utrudniają ją śnieg, oblodzona droga, porywisty wiatr i zdrażliwa Cieśnina Magellana – najwęższy punkt kanału Beagle, dzięki któremu można przedostać się promem z lądu na Ziemię Ognistą. Często wiatr jest tak silny, że na 25-minutową przeprawę trzeba czekać wiele godzin, bo kurs zostaje ze względów bezpieczeństwa wstrzymany.

Niesprzyjające warunki klimatyczne zdawały się nie odstraszać śmiałków, którzy zdecydowali się na zaludnienie wyspy, pierwotnie zamieszkaną przez Indian Yamana i Selknam. To właśnie od ich lokalnych języków wywodzi się nazwa miasta, oznaczająca „głęboką zatokę”. Cała wyspa została nazwana Ziemią Ognistą przez pierwszych przybyszów z zachodu, którzy przybywając drogą morską, widzieli poświaty indiańskich ognisk, usytuowanych na brzegach klifów.

UDAJĄ PINGWINY

Gęsto rozsiane wysepki są miejscem odpoczynku kormoranów oraz innych przedstawicieli lokalnej fauny.



Indianie Selknam byli jednymi z ostatnich aborygenów, z którymi zetknęli się nowi mieszkańcy wyspy. Należeli również do najwyższych Indian, bo średnia wzrostu u mężczyzn wynosiła 180 cm. Nawet w czasie zimy odziewali się tylko w przerzucone przez ciało futra zwierząt, mieszkali w namiotach i nie ochraniali stóp przed śniegiem i zimnem. Obecnie, podobnie jak Yamana, są uznani za plemiona wymarłe.

Za eksterminację lokalnej ludności winę ponoszą Brytyjczycy oraz inni przybysze z Europy, którzy w drugiej połowie XIX w. założyli osadę nazwaną później Ushuaia. Wkrótce potem w mieście otworzono kolonię karną (zamkniętą w 1947 r.), której więźniowie w znacznej mierze przyczynili się do rozbudowy miasta. Stworzyli także tory kolejowe, które obecnie są lokalną atrakcją, nazywaną Pociągami Końca Świata – najbardziej na południe wysuniętą linią kolejową na świecie.



TITANIC POŁUDNIA I DESDEMONA

Ushuaia może się poszczycić niechlubną kolekcją wraków statków, niektórych nawet kilkusetletnich. W pobliżu miejskiego portu towarowego spoczywa Monte Cervantes, ze względu na historię zatonięcia nazywany Titanikiem Południa. Ten niemiecki statek pasażerski, kursujący w latach 30. ubiegłego wieku z Buenos Aires do Ushuaia, zaledwie po 2 latach służby zderzył się z podwodnymi skałami i zatonął. Jedyną ofiarą śmiertelną tej katastrofy był kapitan statku. Pozostali 1200 pasażerów (część z nich ulokowanych we wcześniej opisanym zakładzie karnym z powodu braku wystarczającej liczby miejsc na nocleg) znalazło schronienie w mieście liczącym wtedy 800 mieszkańców. Dziś wydobyty wrak można oglądać z brzegu, spacerując po promenadzie ciągnącej się wzdłuż kanału Beagle.

Na oddalonym około 200 km od Ushuaia wybrzeżu, zwanym Cabo San Pablo, od 1983 r. spoczywa jeszcze bardziej spektakularny wrak – Desdemona. Argentyński statek towarowy osiadł na mieliźnie, a grząski teren uniemożliwił przetransportowanie go w inne, bardziej dostępne miejsce. Dziś w czasie odpływu wrak znajduje się całkowicie na lądzie i nie brakuje śmiałków, którzy zapuszczają się w jego wnętrze.

Obecnie podobne katastrofy są już rzadkością. W dwóch klubach jachtowych co roku

BOHATERKA TRAGICZNA

Wrak statku
Desdemona straszy
na wybrzeżu Cabo
San Pablo.



FOT. MONIKA SZCZYGIELSKA

JESZCZE ŁOWIĄ

Obecnie główną gałęzią gospodarki w Ushuaia jest turystyka, ale dawniej dominował przemysł rybny, mięsny i drzewny.

NASZ ENRIQUE

Polski motyw na krańcu świata, czyli hiszpańskojęzyczne wydanie książek Sienkiewicza.

cumują dziesiątki łodzi należących do podróżników z całego globu. Niektórzy są w trakcie rejsu dookoła świata, inni eksplorują wybrzeża Ameryki Południowej, planują wyprawę na wyspy Malwiny (nazywane przez Anglików Falklandami) lub wybierają się do Puerto Williams, położonego po drugiej stronie kanału. Droga lądową, najróżniejszymi pojazdami, również docierają turyści oraz podróżnicy.

Pomiędzy tymi dwiema grupami w Ushuaia jest widoczna znaczna różnica, ponieważ miasto należy do najdroższych w Argentynie, a Argentyna jest jednym z najdroższych krajów Ameryki Łacińskiej. Jedzenie, noclegi, lokalne wycieczki nie są tanie. Nawet proste zakupy w supermarkecie mogą cenowo zaskoczyć. Turyści kwaterują się w hotelowych pokojach za kilkaset złotych za noc, podróżnicy szukają nieco tańszych hosteli lub obrzeży miasta, na których rozbijają namioty. W Ushuaia można znaleźć atrakcje na każdą kieszeń, od bezpłatnych trekkingów na lodowiec lub po parku narodowym, do kosztownych rejsów na okoliczne wysepki (włącznie z oglądaniem miejscowej fauny, takiej jak pingwiny i słonie morskie).

Nieodłącznym symbolem Ushuaia są wyprawy na Antarktydę. Od lat podróżnicy wybierali właśnie to miasto, jako położone najbliżej białego kontynentu, na początek swoich wypraw. Dzisiaj komercyjne rejsy są na porządku dziennym. Liczne biura podróży oferują kilkudniowe wyprawy, często jako last



FOT. MONIKA SZCZYGIELSKA

minute, jednak nawet takie wycieczki to wydatek od 3 tys. dolarów za 7–8 dni. Wielu turystów właśnie dla zobaczenia Antarktydy odwiedza Ushuaia, inni zadowalają się zdjęciami ze znakiem wskazującym niebotyczne odległości do innych miast świata oraz pamiątkami z napisem „koniec świata”.

MIASTO ZŁAMANYCH SERC

Ushuaia ma też polski motyw. W domu rodziny europejskich imigrantów, obecnie przerebionym na muzeum, znajdują się dwie książki Sienkiewicza – „Quo vadis” oraz „W pustyni i w puszczy”, przetłumaczone na język hiszpański. Inne podobne elementy oraz zabudowa wskazują na znaczący wpływ europejskiej kultury w historii i współczesności miasta. Obecnie wielu mieszkańców to przyjezdni, zarówno Argentyńczycy, jak i obcokrajowcy, którzy zdecydowali się okiełznać nieprzychylną przyrodę i osiąść w Ushuaia. Częścią

migrantów kieruje żądza pieniądza, bowiem wynagrodzenie w mieście należy do najwyższych w kraju. Cała Ziemia Ognista to zagłębie fabryk różnorodnych części elektronicznych, rafinerie i porty, zarówno przemysłowe, jak i handlowe.

Innych przyciągają zapierające dech widoki (obrzeża miasta stały się nawet planem filmu z Leonardo DiCaprio „Zjawą”), swoisty wyluzowany styl życia oraz aura tajemniczości roztaczająca się nad miastem, do której klimatu dodaje legenda. Według niej Indianie, masowo zabijani przez migrantów z Europy, chcieli się zemścić i rzucili na miasto klątwę, przez którą nikt nie zazna w Ushuaia szczęścia w miłości, a zakochani, którzy tam się sprowadzą, po krótkim czasie burzliwie zakończą swoje związki.

Ushuaia to bez wątpienia wyjątkowe pod wieloma względami miejsce. Warte odwiedzenia pomimo odległości i niedostępności. Przecież niecodziennie docieramy na koniec świata. ○



Monika Szczygielska

Uwielbia samotne wyprawy autostopem. Od 2011 r. w podróży przerywanej przystankami na pracę, mieszkanie w odległych miejscach i zajmowanie się literackim freelancingiem. Miłośniczka terenów położonych powyżej 3000 m n.p.m.

OCIEPLANIE KLIMATU

Lokalny festiwal dodaje koloru i ożywia chłodne i przeważnie wietrzne miasto.

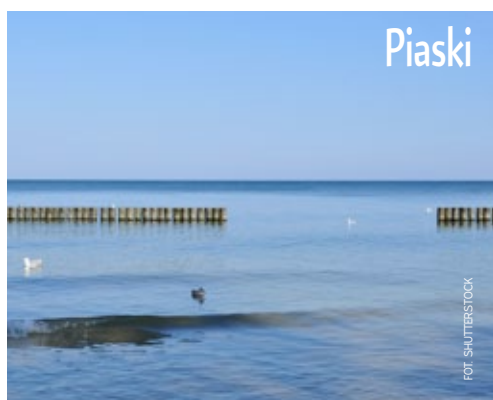
FOT. MONIKA SZCZYGIELSKA





NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Pierła śląskiego baroku

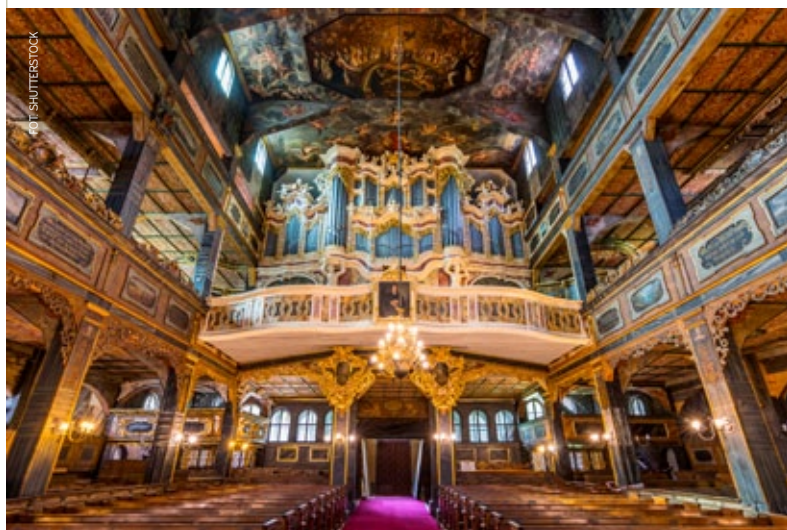
Leżąca na Przedgórzu Sudeckim, w dolinie rzeki Bystrzycy, dolnośląska Świdnica ma do zaoferowania turystom bardzo wiele – imponujące zabytki, będące świadectwem przeszło 750-letniej wielowątkowej historii, piękne krajobrazy z górami i Ślązą w tle oraz cykliczne imprezy kulturalne.

Miasto to, zwane perłą śląskiego baroku, słynie z wyśmienitego piwa, pysznych pierników, tradycji kupieckich, giełdy staroci i imponujących kościołów. Mieszkańcy Świdnicy twierdzą, że to właśnie tutaj, a nie jak ogólnie się sądzi w Warszawie, na świat przyszedł pożerający mieszczan bazyliśzek, a tutejsze pierwsze ślady przepisów wykonania pierników wyprzedziły o kilka dekad te z Torunia.



nie tylko piękna, ale także bardzo wartościowa, na tle innych miast wyróżnia ją wyjątkowo duże nasycenie elementami barokowymi – prawdopodobnie największe w tej części Śląska i Europy. Unikalne barokowe zdobienia znajdziemy przede wszystkim we wnętrzach kościołów i na elewacjach kamienic. Rynek i prowadzące do niego ulice pozostały nienaruszone do dziś i są uważane za jeden z najlepiej zachowanych średniowiecznych zespołów urbanistycznych w Polsce. W ratuszu znajduje się Muzeum Dawnego Kupiectwa. Urok Świdnicy docenią ci, którzy pozostaną w niej do zmroku, aby zobaczyć różnobarwne iluminacje kamienic i zabytków.

Świdnica jest znana także ze swojego doskonałego ciemnego piwa. Pod koniec sierpnia odbywa się tutaj Świdnicki Festiwal Piwa Rzemieślniczego, podczas którego można spróbować ponad stu rodzajów piwa z 20 zaproszonych małych browarów, zjeść regionalne potrawy, posłuchać energetycznej muzyki na żywo, wziąć udział w pokazach warzenia piwa domowego i szkoleniu sensorycznym, a także popatrzeć, jak pracują najbardziej znani blogerzy piwni, oraz porozmawiać z twórcami złotego trunku z Polski i Czech.



Architektura Świdnicy to wdzięczny i z chęcią utrwalany przez wielu artystów fotografików i amatorów temat. Poza świątyniami obiektami godnymi podziwu są: zabytkowy dworzec PKP, pozostałości średniowiecznych murów obronnych i twierdzy świdnickiej, dawny pałac opatów cysterskich, były klasztor Kapucynów z zabytkowym portalem, a także wiele mostów, fontann, kamienic i willi. Architektura Świdnicy jest



50°50'N 16°29'E

Dojazd autostradą A1 lub PKP do Wrocławia, oddalonego od Świdnicy ok. godziny drogi Koleją Dolnośląską (ok. 60 km). Nie istnieją połączenia bezpośrednie. Podróż pociągiem można zastąpić przelotem na wrocławskie lotnisko.

NAVIGATOR – Mniej znane miejscowości nadmorskie polecane przez Wirtualną Polskę

Czy można jeszcze na polskim wybrzeżu znaleźć niezatłoczone plaże? Okazuje się, że tak. Są takie miejsca, gdzie spaceruje się po piasku, zamiast po gęsto rozłożonych kocach, oraz można cieszyć się ciszą i spokojem. W większości z nich nie znajdziemy więcej niż kilka pensjonatów. Poznaj osiem wyjątkowych miejscowości nadmorskich.



Łazy

Łazy to niewielka nadmorska miejscowość letniskowa w województwie zachodniopomorskim, w gminie Mielno. Jest jej najmniejszym sołectwem. Na stałe mieszka tu mniej niż 100 osób. Turyści, którzy przyjeżdżają w to miejsce, będą mile zaskoczeni szeroką, czystą plażą, która w czasie dużych sztormów odkrywa ślady dawnego lasu, wcześniej zasypanego piaskiem, a obecnie wymywanego przez morze.



54°18'N 16°11'E

W sezonie funkcjonują bezpośrednie połączenia autokarowe z wielu miast – m.in.: z Dolnego Śląska (okolice Lubina) i Poznania, przez Piłę. Dla pozostałych alternatywą może być dojazd z Mielna.

Piaski

To mała wioska rybacka na końcu polskiej części Mierzei Wiślanej, tuż przy granicy z Rosją. Do jej atutów, poza wyjątkowym położeniem, należy rozległa plaża i brak dużych ośrodków wczasowych. Panuje tu cisza i spokój. To idealne miejsce dla osób chcących spędzić wakacje w nieobleganej przez turystów miejscowości.

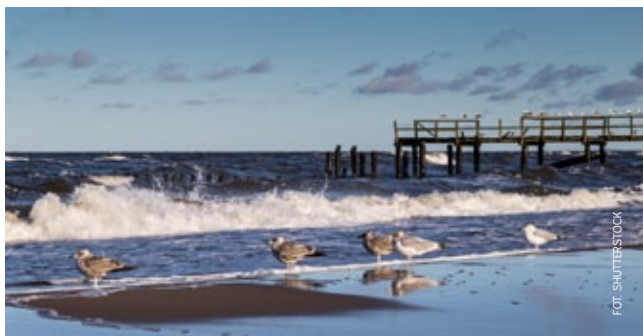


54°27'N 19°37'E

Do miejscowości Piaski można dojechać bezpośrednio z Gdańska autobusem linii nr 870.



Unieście



To nadmorska wieś wypoczynkowa. Z Mielnem tworzy niemal jedną miejscowość, jednak jest w niej znacznie mniej wczasowiczów niż w położonym obok kurorcie. Położenie na wąskiej mierzei między Morzem Bałtyckim a jeziorem Jamno sprawia, że panują tu świetne warunki do wypoczynku oraz uprawiania sportów wodnych.



54°16'N 16°06'E

Z Mielna kursują bezpośrednie połączenia autobusowe do Unieścia.

Wisetka

To mała miejscowość na wyspie Wolin. Jest spokojna i urokliwa, otoczona lasami oraz jeziorami. Znacznie różni się od zatłoczonych, gwarnych kurortów, takich jak Międzyzdroje czy Świnoujście. Jest chętnie odwiedzana przez turystów, którzy podczas urlopu szukają ciszy i odpoczynku od zgiełku. Plaża w Wisetce jest oddalona od zabudowań o ok. 1200 m. Dojście do niej prowadzi przez las.



53°58'N 14°34'E

Do Wisetki można dojechać bezpośrednio z Międzyzdrojów. Podróż trwa ok. 10 minut.



Łukęcin

To kolejne mało znane turystom letnisko w województwie zachodniopomorskim. Miejscowość jest położona między Dziwnówkiem a Pobierowem. Największym atutem Łukęcina jest bliskość morza oraz czysta plaża, która w odróżnieniu od pozostałych miejscowości gminy Dziwnów ma urwisty, klifowy brzeg. Łukęcin stanowi filię uzdrowiska w Kamieniu Pomorskim.



54°03'N 14°52'E

Najbliższy dworzec PKS znajduje się w Pobierowie, skąd można kupić bezpośredni bilet do Łukęcina.

Sianożęty

Sianożęty leżą w powiecie kołobrzeskim. Na terenie miejscowości znajduje się duże poradzieckie lotnisko. Są różne pomysły co do jego wykorzystania – jeśli zostanie reaktywowane, Sianożęty mogą stracić status spokojnej wioski letniskowej. Obecnie to miejsce nie jest licznie odwiedzane przez wczasowiczów.



54°12'N 15°43'E

Sianożęty leżą obok drogi DK11.

Jarosławiec

To jedna z najładniej położonych miejscowości na środkowym wybrzeżu Bałtyku. Przez ok. 2 km wznosi się najwyższe w tym regionie wybrzeże klifowe o wysokości do 45 m. Atrakcją, która przyciąga uwagę wczasowiczów, jest powstała w 1829 r. 33-metrowa latarnia morska.



54°32'N 16°32'E

Do Jarosławca można dojechać m.in. ze Słupska. Podróż powinna zająć niecałą godzinę.

Dziwnów

Dziwnów nie jest małą wioską, ale nie jest też dużą miejscowością uzdrowiskową. Z jednej strony nie ma tłumów turystów, a z drugiej nie trzeba martwić się o komunikację z miastem. Prawdziwą atrakcją jest plaża oddzielona od Dziwnowa pasem wydmy, wzdłuż których ciągnie się wąska alejka topól. Plaża nie jest zbyt szeroka, ale czysta i z drobnym piaskiem. Stoją na niej duże kutry rybackie, które regularnie wyruszają w morze. Na zachodnim krańcu plaży jest ujście Dziwny, ujęte w dwa falochrony.



54°01'N 14°44'E

Najbliższe stacje kolejowe znajdują się w Kamieniu Pomorskim i w Międzyzdrojach.

ZAPATRZONY W WISŁĘ

Marta Legieć



FOT. SHUTTERSTOCK



Stałam na skarpie i oniemiałam. Widok na leniwie płynącą Wisłę był olśniewający. Przemknęło mi przez myśl, że muszę tu wrócić na dłużej. I wróciłam, by bez pośpiechu rozkoszować się atmosferą miasta. Płock potrafi zauroczyć typowo polską, kameralną architekturą i historią. Kto pamięta, że niemal tysiąc lat temu był stolicą naszego kraju?

Płock odkryłam kilka lat temu, przez przypadek. Zamiast mknąć autostradą z Gdańska do Warszawy, postanowiłam poszukać alternatywnej i spokojnej drogi, na której znajdę coś, co mnie urzeknie. Udało się. Zobaczyłam miasto, w którym żyje się bez pośpiechu, zielone i na swój sposób magiczne. Miasto, o którym można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest prowincjonalne. Miasto idealne na weekend dla osób, które zdążyły nasycić się światem i doszły do wniosku, że najwyższy czas odkrywać rodzime strony.

W LETNIM KURORCIE

Oglądając zdjęcia Płocka, w pierwszej chwili można by pomyśleć, że to Kazimierz Dolny. Równie pięknie położony, zaskakuje

widokami, urokiem i brakiem kompleksów, choć nie poraża rozmiarami. To właśnie nadwiślańskie umiejscowienie jest jednym z największych atutów Płocka. Nabrzeże z plażą, przystanią dla żaglówek, krzykiem mew i barami, w których jest serwowana smażona ryba z frytkami, w sezonie przypomina nadmorski kurort. Ale kiedy patrzy się na ten obrazek z góry, wydaje się, że miasto niespodziewanie kończy się stromą skarpą. Na horyzoncie widać tylko błękit Wisły, biel plaży i zieleń sięgających po horyzont lasów Pojezierza Gostyńskiego. W pogodne dni z takim widokiem relaksują się miejscowi i turyści. Starsi przysiadają na ławeczkach, by popatrzeć na wodę, młodszy szaleją w parkowych alejkach na rowerach i deskorolkach. Trasę spacerową nad Wisłą i deptak w latach 1960–1965 projektował naczelnny architekt Płocka, Stanisław Staszewski, czyli tata Kazika.

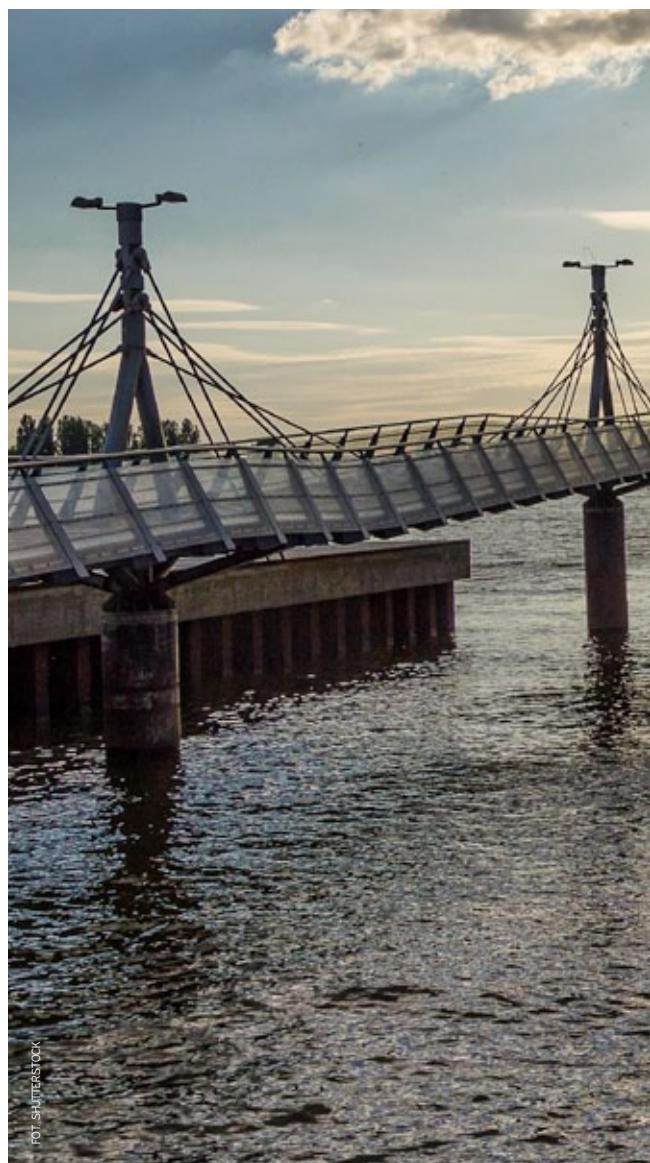
Szeroka wstęga rzeki nadaje miastu niepowtarzalny klimat, a biegnące równoległe do nurtu moło na niej usytuowane jest jedyną tego typu budowlą w Europie. Stoi w miejscu, w którym swoją przygodę z podróżami rozpoczął Tony Halik, kiedy w wieku czternastu lat popłynął jako flisak na tratwie z Płocka do granic Wolnego Miasta Gdańska. Podróż, na którą wybrał się bez zgody ojca, zakończyła się nagle – został zatrzymany przez Straż Graniczną i szybko odeskortowany z powrotem do Płocka.

Poszukiwanie śladów Tony Halika może się stać niezłą przygodą, podobnie jak tego, co pozostawiła po sobie w Płocku Mira Zimińska-Sygietyńska, współzałożycielka zespołu Mazowsze.

STOLICA WŁADYSŁAWA

Ci, którzy pamiętają miasto sprzed lat, mówią zgodnym chórem, że wypiękniało. To już nie tylko kominy, Petrochemia i industrialne klimaty. I choć wielkiego najazdu turystów raczej nie widać, już teraz zatrzymują się tu wycieczki podążające śladami początków państwa polskiego. Zapewne to ci, którym wymienienie wszystkich stolic Polski nie przysparza zbyt wielu kłopotów. Każdy jak z nut recytuje, że były to Gniezno, Kraków i Warszawa. Ale czy tylko?

W długich i burzliwych dziejach Polski władza zmieniała siedzibę wielokrotnie. Zawitała też do Płocka. Kiedy Mazowsze zostało przyłączone do powstającego państwa polskiego, na Wzgórzu Tumskim wzniesiono drewniany gród, który wkrótce przekształcono w rezydencję godną władców kraju, a Płock, jedno z najstarszych miast Mazowsza, stał się na sześćdziesiąt trzy lata stolicą Polski. To stąd rządził krajem książę Władysław Herman (który nobilitował Płock do rangi stolicy Polski) i jego syn Bolesław Krzywousty. Płock był ich ulubioną rezydencją. Pamiątką po władcach jest dziś tu to, czym na ogół



szczyłą się wielkie metropolie – zbiory monarszych insygniów.

Na dłuższą chwilę uwagi zasługuje dwuwieżowa XII-wieczna katedra Wniebowzięcia NMP z grobami królów Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, kilkunastu książąt oraz kopią słynnych drzwi płockich, starszych od drzwi gnieźnieńskich (oryginalne, XII-wieczne znajdują się dziś w soborze w Nowogrodzie Wielkim na Rusi). Jest jeszcze znajdujący się na przedniej ścianie królewskiego grobowca alabastrowy piastowski orzeł, który stał się wzorcem powojennego godła Polski.

Katedra jest najważniejszym zabytkiem Płocka, jedną z pięciu najstarszych w kraju

bazylik i jedną z trzech, gdzie spoczywają dawni władcy Polski. Jest strażnikiem długiej historii miasta. Jej bryła, choć wielokrotnie poprawiana, zbudowana na zgliszczach romańskiego kościoła z 1144 r., zachwyca położeniem, zaskakuje lekkością, architekturą i wystrojem. W bogato zdobionym wnętrzu ciągle można dostrzec pierwotne romańskie elementy jej architektury.

Wart uwagi jest też skarbiec, czyli wystawa drogocennych przedmiotów. Znajduje się tuż obok bazyliki, w budynku pozostałym z dawnego zamku książęcego, w Muzeum Diecezjalnym. Zebrane tu przedmioty są niemymi świadkami dawnej potęgi miasta, wśród nich

MOST WZDŁUŻ RZEKI

Kto chce podziwiać Wzgórze Tumskie czy zachód słońca, powinien wybrać się na płockie molo. To niepowtarzalna konstrukcja zbudowana równoległe do linii brzegu rzeki. Na końcu pomostu długości 357,8 m znajduje się restauracja.





FOT. MARTA LEGEC



FOT. MARTA LEGEC



FOT. MARTA LEGEC

szaty liturgiczne, relikwiarze czy kielich księcia Konrada Mazowieckiego z ok. 1240 r.

MIASTO NAJ

Z dzisiejszej perspektywy okres, w jakim Płock był stolicą Polski, można uznać za krótki. Wystarczyło to jednak, by na zawsze zapisał się na kartach historii.

Serce prastarego Płocka, miasta stołecznego, siedziby książąt i biskupów, bije



NEKROPOLIA WŁADCÓW

Katedra należy do najstarszych budowli sakralnych w naszym kraju. Jej wnętrze w latach 40. XVI w. zyskało renesansowy wizerunek. Są tu pochowani średniowieczni władcy Polski: Władysław I Herman i Bolesław III Krzywousty. Miejsce ich spoczynku upamiętnia sarkofag z insygniami władzy, u którego stóp pogrzebano wielu władców mazowieckich.

niezmiennie na Wzgórzu Tumskim, przegładającym się w szeroko rozlanej w dole Wiśle. Na skarpie nad rzeką stoi pomnik Bolesława Krzywoustego, władcy Polski. Taras jest wymienitym punktem widokowym. Widać stąd wieżę katedry, wybudowaną w latach 60. amfiteatr, wciśnięty w zbocze, na którym niegdyś biskupi uprawiali winorośle.

Gdyby zrobić w Polsce konkurs na poszukiwanie najstarszych pamiątek z przeszłości, Płock wygrałby w przedbiegach. Znajdziemy

tu choćby czworokątną budowlę (nazywaną palatium) z początku XII w., wkomponowaną częściowo w mury gotyckiego zamku. Ten niewielki budynek powstał m.in. z płaskich cegieł, jednych z najstarszych, jakie odnaleziono w naszym kraju. W pobliżu dawnej synagogi znajduje się świątynia mariawitów, jedynej mniejszości wyznaniowej na świecie, która ma polskie korzenie. To też jedyna mariawicka katedra w całej Polsce i najważniejsza świątynia Kościoła Starokatolickiego Mariawitów.



ŁAWECZKA WYCHOWAWCY

Wacław Milke wychował kilka pokoleń młodych płocczan i jest dla wielu największym autorytetem. Jego ławeczka stoi przy pierzei zachodniej Starego Rynku, niedaleko ratusza.

NOCNIK I SZTUKA

Sporo inwestuje się tu w kulturę. Jest kilka festiwali, na które wpada młodzież z całego kraju. Nie tylko muzycznych imprez zazdroszczą Płockowi inne miasta. Jest tu jeszcze aktywna orkiestra symfoniczna, ogród zoologiczny i kino studyjne. Miłośnicy kina mogą zresztą zabawić się tu w szukanie filmowych tropów. W Płocku kręcono m.in. „Stawkę większą niż życie”, „Pana Kleksa w kosmosie” i „Szatana z siódmej klasy”, a w pobliżu miasta cumował statek z „Rejsu”.

Chlubą Płocka jest największa w Polsce, licząca ponad 10 tys. eksponatów, kolekcja secesji zebrana w Muzeum Mazowieckim. To najstarsze polskie muzeum, powstałe jeszcze w 1821 r., posiadające zbiory historyczne, numizmatyczne, artystyczne, archeologiczne i etnograficzne, również imponującą kolekcję art déco. Wizyta w stylowej kamienicy przy ul. Tumskiej, przy reprezentacyjnym deptaku, jest obowiązkiem dla każdego wielbiciela Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego, Malczewskiego, Ćmielowskiej i Miśnieńskiej porcelany. I dla tych, którzy są ciekawi, czy nocnik

może być dziełem sztuki i co to były prawidła do rękawiczek.

Między Muzeum Mazowieckim a Nove-Kino Przedwiośnie trzy lata temu stanął pomnik Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej, aktorki, reżyserki i długoletniej dyrektorki zespołu pieśni i tańca Mazowsze. Słynna płocczanka idzie ulicą z parasolką i bukietem kwiatów. Każdego dnia spotyka swoich fanów.

Warte wizyty jest również Muzeum Żydów Mazowieckich, funkcjonujące w synagodze (jednej z nielicznych zachowanych na Mazowszu), wybudowanej ok. 1810 r. i nazywanej dawniej Małą Synagogą.

STARE JAK NOWE

Płock kusi atmosferą miasta świadomego własnej wartości. Niewielkiego, ale dumnego z tradycji. W centrum wokół prostokątnego placu wznoszą się tynkowane na biało i kremowo urocze kamieniczki z XVIII i XIX w. Niektórym z nich warto przyjrzeć się dokładniej, zaskakują detalami, secesyjnymi ornamentami. Najstarsza i najważniejsza dzielnica miasta

serwuje też wspinałe zaułki i puste przestrzenie. Środek rynku zarezerwowały sobie zegar słoneczny, ozdobne ujęcie wody i fontanna. Latem kolorytu dodają miastu restauracyjne ogródki z parasolami i kwiaty, których tu naprawdę dużo. Zapewne równie barwnie było w XIII w., kiedy w trzytyśiącym Płocku działało aż 27 karczm.

Na Starym Rynku budynki mają swoją historię. Pod numerem 14 stoi Zakład Anioła Stróża. Jego sława jest związana ze świętą Faustyną Kowalską, zakonnicą kanonizowaną w 2000 r. przez Jana Pawła II. To właśnie tutaj, w 1931 r., siostra Faustyna miała pierwsze objawienia.

Z daleka widać ratusz, klasycystyczny budynek wbudowany pomiędzy dwie kamienice, zamykający rynek od zachodu, ozdobiony wieżą zegarową. Codziennie w południe jest z niej grany na żywo hejnał, który niczym nie ustępuje krakowskiemu. Tuż po nim jest odgrywana scena pasowania na rycerza Bolesława Krzywoustego przez Władysława Hermana. Czy może być coś bardziej zakorzenionego w polskiej tradycji?

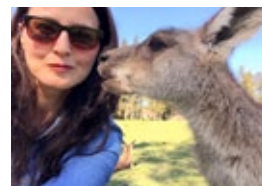
Wspomnień tu wiele, jednak Płock idzie z duchem czasu. Szare mury, zaniedbane budynki i ponure dziedzince zostały ożywione pracami artystów polskiego street artu. W podupadłe kamienice umiejętnie tchnęli

ducha nowoczesności. W centrum miasta na murale można się natknąć niemal co krok. Pierwszy powstał w 2003 r., od tego czasu trwa wielkie malowanie.

TU BYŁEM

Tony Halik uczęszczał do słynnej Małachowianki, najstarszej szkoły w Polsce i jednej z najstarszych w Europie, istniejącej nieprzerwanie w tym samym miejscu od 1180 r. Zachował się tu zapis wspomnień gimnazjalnych kolegów Halika: „Był niezwykle, wrażliwy i ruchliwy jak diabeł, trudno go było zatrzymać w jednym miejscu” albo „Stale siedział nad atlasem, nad mapami, przy pomocy czerwonych nitek i szpilek wyznaczał sobie trasy przyszłych podróży”.

Niezwykły jest też Płock. To miasto do natychmiastowego pokochania, choć trzeba czasu, żeby odkryć wszystkie jego oblicza. Zapatrzoną w Wisłę, oddalony od pędu głównych dróg i nerwowości metropolii, wpływa na gości kojąco. Jeśli zostanieie tu do zmroku, zobaczycie wyjątkowo efektowną iluminację mostu. Podświetlony trzema kolorami: żółtym, niebieskim i czerwonym (nawiązujące do barw flagi miejskiej Płocka), na długości 690 m. Po takim widoku trudno zasnąć. ○



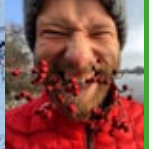
Marta Legieć

Z wykształcenia geograf, z zawodu dziennikarka, z zamiłowania fotograf. Nieprzerwanie poszukuje ciekawych miejsc, o których pisze na łamach magazynów lifestyle'owych i podróżniczych. Z równą ciekawością odkrywa Tokio i Suwałki. Wielbicielka dobrej kuchni i Gdańska, w którym mieszka.



RELAKSIK Z PREZESEM

Wzgórze Tumskie to idealne miejsce relaksu. Można tu przysiąc na parkowej ławeczce Jakuba Chojnackiego, prezesa Towarzystwa Naukowego Płockiego, jednego z najstarszych w kraju.



DZIEŃ DLA SIEBIE

Ostatnio przyglądałem się mojej stercie książek. Pracuję nad powieścią o Spinalondze, wysepce u wybrzeży Krety, na której kiedyś przetrzymywano trędowatych, i dużo czytam. O wyspie, historii, zwyczajach, ludowych legendach. Przynajmniej raz w roku jestem na Krecie i kiedy tylko widzę książkę, która może mi się przydać – kupuję.

Z książkami jest jak z kupowaniem sprzętu na wyprawę, naprawdę trudno mi się postrzymać. Część była dość droga, od 20 euro wzwyż. Kupowałem, ale za każdym razem się martwiłem, że przecież nie stać mnie, że zabraknie mi pieniędzy na inne ważne rzeczy. Ostatnio przyglądałem się tym książkom stojącym w dwóch stosikach na podłodze. Były tam, wydałem na nie pieniądze i nic się nie stało. Świat się nie zawalił, rachunki popłaciłem, na jedzenie mi nie zabrakło. Jaki więc był sens

w przejmowaniu się? Niepotrzebnie dokładałem sobie zmartwień.

Podobnie działam na co dzień, szczególnie w pracy. Zawsze jest coś, co trzeba pilnie zrobić, zawsze mam w głowie, że mogę z czymś nie zdążyć. Przyznam, że niestety tak mam także w kontekście siebie i mojego życia rodzinnego. Praca jest ważniejsza niż to, żebym dobrze się czuł, był zdrowy, miał radość z życia, ważniejsza niż to, żebym spędził czas z rodziną. Myślę, że wielu z nas tak ma.

Od jakiegoś czasu staram się to zmieniać. Zamiast ośmio-, dziesięciogodzinnego

dnia pracy, wprowadzam pięcio-, sześciogodzinny. Wierzę w to, że jeśli wyłączyć pierdoły typu Facebook i czytanie portali internetowych i zostawić samą pracę, da się to zrobić.

Próbuję też wprowadzić jeden dzień roboczy wolny. Na robienie tego, na co mam ochotę. Pewnego dnia stwierdziłem, że skoro zbyt często praca wygrywa z rodziną, to tym razem rodzina wygra z pracą. Wziąłem dzień wolnego, zwolniłem syna ze szkoły i wsiedliśmy w samolot.

Tymik leciał już kiedyś samolotem, ale był tak mały, że tego nie pamiętał.

Kupiliśmy bilety z małym wyprzedzeniem, w promocji, i na jeden dzień polecieliśmy do Gdańska.

Musieliśmy wstać strasznie wcześnie, koło piątej, i zwykle, kiedy wstaję o takiej godzinie, jestem strasznie zły. Ale tym razem byłem szczęśliwy jak nigdy. Wiedziałem, że robię coś ważnego, że razem spędzimy sto procent czasu nierozprasznani przez maile, telefony (wyłączyłem) i inne osoby. Byliśmy tylko dla siebie i to było naprawdę wspaniałe uczucie.

Jeszcze przyjemniejsze było to, że Tymik ciągle o coś mnie pytał i traktował jak naturalny autorytet: czego nie można przewozić w bagażu? Do czego służy ta bramka, przez którą przechodzimy? Z jaką prędkością leci samolot? Gdzie są kamizelki ratunkowe? A kiedy odpowiadałem mu na kolejne pytania, robił coraz większe oczy, aż w końcu zapytał: – *Tato, a skąd ty to wszystko wiesz?*

Czułem, że mnie podziwia za tę wiedzę, i to było bardzo przyjemne uczucie. Nieważne było, że każdy, kto latał samolotem, ma taką wiedzę. Ważne było, że to ja przekazuję ją mojemu synowi. Kiedy usiedliśmy w fotelach, w tylnej części samolotu, Tymik powiedział:

– *Dobrze, że z tyłu. W „Katastrofach w przestworzach” pokazywali, że z tyłu ma się większe szanse na przeżycie wypadku. A więc i ja nauczyłem się czegoś od niego. Przez cały lot podziwialiśmy chmury, miło było patrzeć na jego zachwyty. Miło było sobie przypomnieć, że sam też się tak potrafię zachwycać.*

Program mieliśmy luźny. Pojechaliśmy na molo w Sopocie pogapić się na morze, a kiedy to nam się znudziło, udaliśmy się do zoo w Oliwie. Wiedziałem, że mają tam fenomenalny wybieg dla lwów, podzielony od widowni tylko szybą z pleksiglasu. Można stanąć twarzą w twarz z dorosłym lwem.

Zoo w środku tygodnia było puste. Do lwów nie mieliśmy szczęścia, nie chciały podejść do szyby, były daleko na wybiegu. Za to zobaczyliśmy geparda z odległości metra, rysia, żbika, krokodyla, węże i żyrafy. Nie wiem, kto był bardziej zafascynowany, ja czy Tymik. Na nim chyba mniejsze wrażenie zrobił przepiękny gepard, a większe pingwiny, które w jego opinii powinny być z Madagaskaru.

Po zoo zostało już niewiele czasu na frytki i hamburgera i musieliśmy wracać. Lot powrotny był dla Tymika równie

fascynujący. Choć za oknem było już ciemno, patrzył przez nie podczas niemal całej podróży. Z czasem okazało się, że na tym jednym dniu wolnym nie ucierpiała ani moja praca, ani szkoła Tymika. Świat się nie zawalił, kręcił się dalej i nawet nie zauważył, że nas nie było.

Kąkiś czas potem na TED.com obejrzałem wystąpienie Ricardo Semlera, brazylijskiego przedsiębiorcy. Ricardo od 30 lat prowadzi firmę, która m.in. jest właścicielem 4 tys. bankomatów w Brazylii, rozlicza dziesiątki tysięcy ludzi z podatków, produkuje elementy silników rakietowych i zatrudnia około 5 tys. ludzi. Ricardo w poniedziałki i czwartki ma dni, które nazywa „dniami końcowymi”, podczas których zastanawia się nad swoją śmiercią i robi to, na co ma ochotę.

– *Wiele osób z mojej rodziny zmarło z powodu raka* – opowiada Semler na TED.com: – *Wiem, że jednego dnia mój doktor może powiedzieć mi to samo: „Ricardo, sprawy nie wyglądają dobrze. Zostało ci pół roku życia”. Zaczynasz się wtedy zastanawiać, co zrobić z tym czasem, i myślisz sobie: Spędzę więcej czasu z dziećmi; Zobaczę to i to miejsce; Będę się wspinał w górach i zrobię to wszystko, na co nie miałem czasu za normalnego życia.*

Ale Ricardo nie chciał czekać aż do końca życia. Chciał to teraz. Więc w każdy poniedziałek i czwartek robi to, na co ma ochotę: gra w golf, wspina się w górach, spędza czas z rodziną. W pewnym momencie zdecydował, że przeniesie to myślenie na swój biznes.

– *Uznaliśmy, że chcemy dać ludziom firmę, w której znikają ograniczające reguły: nie mówimy, kiedy mają przyjść do pracy i kiedy z niej wyjść, nie mówimy, jak się mają ubierać, jak uczestniczyć w spotkaniach, czego mówić, a czego nie. Powiedzieliśmy, że zamiast wspinać się w górach na emeryturze, niech zrobią to w przyszłym tygodniu. Zrobimy to tak: odsprzedamy ci swoją firmę, która teraz będzie twoim dniem wolnym, za 10 proc. twojej pensji. Teraz, jeśli od zawsze chciałeś zostać wiołonczelistą, możesz ćwiczyć grę na wiołonczeli w każdą środę.*

Średnia wieku pracowników, którzy przystali na ten układ, wynosiła 29 lat. Z czasem zniknęły kolejne reguły: nie trzeba było przychodzić do biura, informować pracodawcy, ile się wzięło wolnego, raportować wydatków, pracownicy sami głosowali, kogo chcą mieć za szefa,

do rady nadzorczej mógł się dostać każdy, nawet sprzątaczką. Firma była zarządzana w bardzo przejrzysty, demokratyczny i uczciwy sposób.

– *Ustalaliśmy z pracownikami wielkość sprzedaży, np. powiedzmy, że tygodniowo masz sprzedać 57 widgetów. Jeśli sprzedasz tyle do środy, proszę, idź na plażę. Nie twórz problemów dla nas, dla produkcji, twórców aplikacji, bo wtedy będziemy musieli kupić nowe firmy, wykupić naszych konkurentów, a to wszystko dlatego, że za dużo i za szybko sprzedajesz. Więc jak wyrobisz swoją normę, idź na plażę i wróć w poniedziałek* – opowiada Ricardo.

Mnie też nie chciało się wierzyć w tę historię. Też spodziewałem się zakończenia w stylu „i firma upadła, ludzie okradali i oszukiwali”. Ale to nieprawda. Ricardo niedawno stworzył trzy nowe firmy, stworzył fundację, która propaguje demokratyczny model szkolnictwa, i pisze nową książkę. Pierwszą rzeczą, którą pomyślałem, gdy go słuchałem, było: chcę dla niego pracować. A potem do głosu przyszedł rozsądek i przypomniał mi, że mieszkam w Polsce, a nie w Brazylii. Ale – oświeciło mnie – czy ja już nie zacząłem robić tego, co Ricardo? Czy skracanie dnia pracy, dzień wolnego na czas z rodziną, to nie jest właśnie to, o czym on mówi? Trzeba tylko wprowadzić to w życie i uczynić regułą. Nie muszę się przeprowadzać do Brazylii, żeby być zadowolonym ze swojego życia. Mogę zrobić to tu i teraz. Środa może być moim dniem na mikrowyprawę! ◉

Informacje praktyczne:

- Miejsce: start – lotnisko w Pyrzowicach.
- Czas: 12 h – 2 dni.
- Co zabrać: zależnie od kierunku i warunków pogodowych.
- Koszty: od kilkudziesięciu złotych wzwyż, zależnie od kierunku i terminu.
- Poziom trudności: brak.

Łukasz Długowski

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy



PIECHOTA NA WYSPĘ CEJŁON

Dorota Wójcikowska, Witold Palak

Czy Ceylon jest wyspą? Cóż za pytanie! Oczywiście, że tak. Ale czy był nią od zawsze? Kiedy patrzymy na mapę Indii, bez trudu zauważamy na jej południowo-wschodnim krańcu kawałek lądu, który wąskim paskiem biegnie daleko w kierunku tej wyspy i niemal jej dotyka. Aż się prosi, aby powstał tam most, po którym można by suchą nogą przeprawić się z indyjskiego subkontynentu.

PROSTO DO MORZA

Jeszcze do niedawna ostatnie 5 km Indii w kierunku Sri Lanki można było przejść połą drogą. Biegła ona wąskim pasem wrzynającym się w ocean. Dziś jest już nowa asfaltowa szosa, zakończona morzem.



Most na dawny Cejlon (obecnie Sri Lankę) kiedyś istniał. Niewiadome jest jednak jego pochodzenie. Niektóre współczesne teorie mówią o ingerencji budowniczych z obcej inteligencji. To uniwersalne wytłumaczenie, pasujące do każdej nierozwikłanej historii. Ale mieszkańcy Indii wierzą w jedno tylko źródło informacji – sanskrycki epos Ramajana, przedstawiający dzieje Ramy, siódmego wcielenia boga Wisznu, jego brata Lakszmany i żony Sity.





FOT. DOROTA WOJCIKOWSKA, WITOLD PALAK

GDZIE ON JEST?

**Współautorka
w poszukiwaniu
legendarnego,
zaginionego Mostu
Adama, prowadzącego
kiedys na Ceylon.**

Kiedy król Ravana – demon o dziesięciu głowach – porwał Sitę i zawiódł ją na pobliską Lanę, Rama postanowił udać się na wyspę i oswobodzić ukochaną. Aby przedostać się przez morze – przy pomocy armii złożonej z Vanara, czyli humanoidów o ciele małp, dowodzonej przez boga Hanumana o małpiej twarzy – zbudował most, po którym armia przeprawiła się na wyspę i uwolniła żonę swojego króla. Budowa zajęła 5 dni, a wykorzystano do niej skały i górskie głazy. Konstrukcję tę nazwano różnie: Rama Setu (w sanskrycie *setu* oznacza „most”), Hanuman Bridge lub Setubandhanam.

Według innej, starotestamentowej mitologii, Adam przywędrował z Indii na Lanę po istniejącym już moście, a po wdrapaniu

się na dużą górę stał tam na jednej nodze przez 1000 lat i zostawił odcisk stopy w skale. Wierchołek góry został nazwany na jego cześć Adam's Peak. Mostowi zresztą również nadano imię Adama.

Istnieje trzecia hipoteza, tym razem wywodząca się z islamu. Według niej ogród Eden znajdował się właśnie na Sri Lance. Adam po wygnaniu z raju trafił na górę Sri Pada, gdzie jego potężna, 30-metrowa postać pozostawiła odcisk stopy, a on sam przeszedł przez mityczny most z wyspy na stały ląd.

SKOK W BOK

Delikatnie kręcąca się płycizna, o długości 30 km, głębokości od 1 do 4 m (w kilku



miejscach osiąga 10 m, ale tylko w czasie przypływu), jest wyraźnie widoczna na zdjęciach satelitarnych, niektóre zaś ze skalnych bloków istotnie przypominają zniszczone przęsła mostu. Szerokość mielizny nie przekracza 100 m. Łączyła ona przed wiekami indyjski Rameswaram z lankijską wyspą Mannar. Według przekazów historycznych z Indii na wyspę można było przejść na piechotę aż do XV w. Wtedy to potężne sztormy pogłębiły kanał, a cyklon z 1480 r. doprowadził do zawalenia elementów konstrukcji i ich zatopienia.

Od kilku miesięcy jechaliśmy na motocyklu Royal Enfield 500 cc. Naszym zamiarem było objeżdżenie całych Indii dookoła i zaglądanie zwłaszcza w miejsca mniej znane, pomijane przez turystów. Takim idealnym celem stało się właśnie zatopione tombolo, zwane najczęściej Mostem Adama – nieważne, czy stworzone przez kosmitów, małpią armię, czy uformowane z piasku i skał przez Matkę Naturę. Stan Tamil Nadu ma tyle interesujących turystę miejsc, że odbicie od głównego szlaku najczęściej wykracza poza ramy czasowe podróznika. My, z własnym transportem, mogliśmy wybierać trasę dowolnie. Bez wahania więc skierowaliśmy koła w stronę Sri Lanki.

Za bazę wypadową obraliśmy miasteczko Rameswaram, leżące na wyspie Pamban. Aby



PLAŻA SŁODKOWODNA

Po obu stronach słone morze, więc słodką wodę można znaleźć tylko pod ziemią. Skalna warstwa wodonośna zawiera wody kompresowane pod dużym ciśnieniem. Takich studni na plaży w okolicach Danuszakodi jest kilkanaście.

FOT. DOROTA WOLCZKOŃSKA, WITOLD PAŁKA





FOT. DOROTA WOJCIKOWSKA, WITOLD PALAK

ZAJŚĆ NA RYBKĘ

Przybysze muszą spróbować świeżej rybki w jednej z nadmorskich „restauracji”. Ryby są smażone na głębokim oleju i podawane na kawałku starej gazety, w wersji „luksusowej” zaś – na wyschniętym liściu.

się do niego dostać, należało przejechać Annai Indira Gandhi Bridge – most otwarty w 1988 r. Budowa tego jednego z najbardziej spektakularnych mostów na świecie trwała 14 lat. Powstał on na niestabilnym, podatnym na erozję gruncie, dodatkowo był narażony na potężne wiatry wywoływane przez występujące w tej strefie cyklony. Długi na 2345 m, pokryty w całości asfaltem, stanowi łakomy kąsek dla uwielbiających fotografowanie Hindusów.

Idąc w ich ślady, zaparkowaliśmy motocykl obok zakazu zatrzymywania się. Przez kilkanaście minut podziwialiśmy widoki, konstrukcję mostu, a także walczyliśmy z huraganowym wiatrem i tłumem hinduskich turystów, którzy wysypywali się z autokarów.

KRAJOBRAZ PO TSUNAMI

Rameswaram to dla wyznawców hinduizmu miejsce szczególne. Najważniejszą budowlą jest tutaj Ramanathaswamy Temple – świątynia boga Śiwy. To miejsce święte zarówno dla monoteistycznych śiwaitów, jak i dla wisznuitów. Ale nas najbardziej interesowała niewielka wioska Danuszkodi, znajdująca się 20 km dalej, na samym końcu cypla.

Po 15 km dotarliśmy do niewielkiej osady rybackiej Mukuntharayan Chathiram. Po obu

stronach jezdni było zaparkowanych wiele samochodów, autokarów i motocykli, a dalszą jazdę blokował łańcuch i szlaban – posterunek wojskowy. Pomimo że przed nami rozciągała się długa, prosta linia wspaniałej, nowej jezdni, prywatne pojazdy nie mogły nią jechać. Na nic zdały się prośby: pilnujący szlabanu był nieugięty. Trzeba było zostawić nasz pojazd na parkingu, pomiędzy straganami z pamiątkami oraz budami sprzedającymi smażone ryby.

Aby dotrzeć do Danuszkodi, musieliśmy przepacerować się 5 km w pełnym słońcu, dźwigając dodatkowo nasze kaski oraz plecak. Wyjściem był zdezelowany autobus, który za wysoką jak na Indie cenę 5 USD oferował jazdę... plażą. Nie mogliśmy odpuścić sobie takiej atrakcji, więc po chwili razem z innymi pasażerami podskakiwaliśmy na potężnych wybojach. Nadmorska droga biegła tuż przy linii brzegowej. Czasem autobus wjeżdżał wręcz w morze, by po chwili wspinać się na którąś z wydmy. Bilet

FOT. DOROTA WOJCIKOWSKA, WITOLD PALAK



obejmował jazdę w obie strony, a na zwiedzanie Danuszkodi dostaliśmy godzinę.

Jeszcze przed 54 laty miasteczko było ważnym punktem administracyjnym i handlowym. Dochodziła tu linia kolejowa z Rameswaram, znajdowała się poczta, urząd celny, szpital kolejowy, urząd portowy, liczne biura, kościół, świątynia, szkoła. Stąd odchodziły też promy łączące Indie ze Sri Lanką. Ale 23 grudnia 1964 r. wioska została zmieciona z powierzchni ziemi. Pomimo informacji o nadchodzącym cyklonie, wzmagającej się sile wiatru i możliwości tsunami, ludzie zlekceważyli ostrzeżenia. Wiatr o sile dochodzącej do 280 km/h wraz z siedmiometrowymi falami uderzył głównie w Sri Lankę i spowodował śmierć ok. 1800 ludzi.

Niestety, sięgnął również Danuszkodi. W ciągu kilku godzin tętniące życiem miasteczko przestało istnieć. 800 osób straciło życie. Pociąg zmierzający z Rameswaram

do Danuszkodi został pochłonięty przez fale. Zginęło 150 osób – cała załoga i wszyscy pasażerowie. Danuszkodi nigdy się już nie odbudowało. Pozostało miastem widmem. Spacerowaliśmy w milczeniu pomiędzy kikutami budynków. Bez trudu udało nam się rozpoznać zrujnowany kościół, szkołę; spokojną plażę zapełniały pozostałości niewielkich budynków mieszkalnych. Niektóre z domów budowano tuż przy linii brzegowej – nie miały szans z cyklonem i falą.

Rozwijająca się turystyka otworzyła oczy niektórym decydentom, którzy dostrzegli w całej tej tragedii szansę na promocję regionu. Szosa do Danuszkodi, która właśnie czekała na otwarcie, była jednym z pierwszych sygnałów, że miejscowość ta może powoli powracać na mapę. Sporo chat, pokrytych dachami z liści palmowych, miało już anteny satelitarne czy baterie słoneczne, przy drogach rozgościły się liczne stoiska handlowe.

BYŁA SOBIE WIOSKA

Ruiny wioski Danuszkodi kryją prawdę o dramacie sprzed 54 lat. Kiedyś było to miejsce pełne życia, ale tsunami zniszczyło wszystko.





FOT. DOROTA WOJCIECHOWSKA, WITOLD PALAK

MY JESTEŚMY WSZĘDZIE!

Poznaj Świat
(miesięcznik, który
uzależnia od czytania
i podróży) dociera
oczywiście w każdy
zakątek globu.

Ustabilizowana sytuacja polityczna na Sri Lance, traktat pokojowy z separatystycznymi Tamiłskimi Tygrysami, rozwój gospodarczy Indii – wszystko to doprowadziło też do dyskusji o przywróceniu transportu morskiego pomiędzy sąsiadującymi krajami.

Najpoważniejszym jednak planem jest wybudowanie prawdziwego mostu, biegnącego przez zatokę Palk. Patrząc na rozmach, z jakim rozwijają się Indie, należy całkiem poważnie traktować taką możliwość.

Godzina minęła szybko, i spieszenie wróciliśmy do naszego autobusu. Jazda powrotna plażowymi koleinami wydała się nam dużo znośniejsza niż los opuszczonego miasteczka.

KĄPIEL W ŚWIĘTYCH WODACH

Kiedy powróciliśmy do naszego enfielda i mieliśmy już zawracać w stronę Rameswaram, podszedł do nas ten sam wojskowy, który zabraniał jazdy motocyklem zaledwie dwie godziny temu. – *Jeśli chcecie, możecie teraz pojechać tą nową drogą* – poinformował nas, opuszczając szlaban.

Podjeżdżaliśmy, że zakaz wjazdu mógł być podyktowany porozumieniem z właścicielami autobusów wożących pasażerów do Danuszkodi. Kiedy droga zostanie oficjalnie otwarta, stracą oni możliwość zarobku. Pozostaną im tylko entuzjaści podróży plażą. Samodzielna jazda środkiem morza to także niesamowita atrakcja! Nie roztrząsaliśmy dłużej decyzji strażnika. Czym prędzej odpaliłem silnik i skierowałem się z powrotem w stronę Sri Lanki.

Nasz motocykl gnał pustą, gładką szosą o pięknej, czarnej nawierzchni. Po jednej stronie Zatoka Bengalska, po drugiej Ocean Indyjski, a my pośrodku kilkudziesięciometrowego paska ziemi! Minęliśmy stary, opuszczony port, wjechaliśmy na chwilę do wioski rybackiej, przemknęliśmy pomiędzy ruinami Danuszkodi i kontynuowaliśmy jazdę do samego końca. Wreszcie po 9,5 km ląd się skończył. Dotarliśmy do Arichalmunai. Tutaj nie było już żadnych zabudowań. Tylko niewielkie rondo, gdzie można było zaparkować i rozkoszować się panoramicznym widokiem morza.

Byliśmy na końcu Indii! Przed nami zatopiony przed wiekami Most Adama, a 30 km dalej – wybrzeże Sri Lanki. Ponieważ nie mieliśmy do pomocy małpiej armii, nie kontynuowaliśmy podróży w kierunku wyspy. Wracaliśmy jednak jako podróżnicy usatysfakcjonowani.

Mniej więcej w połowie drogi, kilometr w bok od głównej trasy, trafiliśmy jeszcze na budynek, który jako jedyny nienaruszony przetrwał tsunami z 1964 r. To Kothandaramar Temple – kolejne święte miejsce dla hinduistów. Tutaj, jak podaje epos Ramajana, Rama zarządził przeprowadzenie ceremonii *pattabhisekam*, czyli koronację Vibhishany, młodszego brata króla Ravany. Vibhishana sprzeciwił się porwaniu żony Ramy, Sity, przez co został publicznie poniżony przez Ravanę. Ponieważ nie zgadzał się z postępowaniem brata, wystąpił przeciwko niemu i w tym właśnie miejscu, gdzie teraz stoi świątynia Kothandaramar, poddał się Ramie i przeszedł na jego stronę. Po pokonaniu Ravany Rama postanowił mianować Vibhishanę królem Lanki. Koronacja, przypominająca nieco nasz biblijny chrzest, odbyła się na morskim brzegu. Całą historię ilustrują malunki wewnątrz świątyni.

ZMYWANIE GRZECHÓW

Kąpiel w świętych wodach Danuszkodi to obowiązek każdego pielgrzyma. Zmywanie grzechów jest połączone z hołdem składanym bogu Śiwie.

Parkując w pobliżu niej motocykl, zauważyliśmy tłum kolorowo ubranych postaci spacerujących brzegiem lub stojących w morskiej wodzie. Byli to pielgrzymi dokonujący rytualnych ablucji w wodach. Kąpiel w miejscu, gdzie *Mahodadhi*, czyli Zatoka Bengalska spotyka się z Ratnakara – Oceanem Indyjskim, jest uważana za świętą i zgodnie z tradycją powinna być dokonana, zanim wierny uda się do Varanasi. Ablucja w tych wodach wyzwala też powtarzający się cykl narodzin i śmierci.

Zanurzyliśmy stopy w świętym miejscu. Dookoła nas dziesiątki pielgrzymów polewało zarówno siebie, jak i kamienny ołtarz umieszczony w morzu kilka metrów od brzegu. Większość po zakończeniu ceremonii fotografowała się na tle morza. Niektórzy zaś, już na brzegu, formowali z gliniastego piasku niewielkie kopce, na które składali ofiary.

Cała okolica Rameswaram i Danuszko-di jest pełna miejsc opisanych w Ramajanie. Wracaliśmy do Rameswaram nie tylko zachwyceni widokami, ale również dużo bogatsi o wiedzę dotyczącą kultury i religii tego rejonu świata.

Zapewne już niedługo miejsca te staną się turystycznymi atrakcjami, które można będzie łatwo odwiedzić i zobaczyć. W lipcu 2017 r. indyjski premier Narendra Modi otworzył oficjalnie nowy odcinek drogi, po którym wcześniej jechaliśmy (chyba nie do końca legalnie). Zmieniono jednocześnie jej nazwę z NH-49 na NH-87. Teraz już bez problemu można dotrzeć na sam koniec Indii. Prawdopodobnie za kilka lat da się też przejść suchą stopą po moście łączącym Indie z wyspiarskim sąsiadem – Sri Lanką (zwaną kiedyś, ładniej, Cejlonem). ○



**Dorota Wójcikowska,
Witold Palak**

Ona – z wykształcenia ekonomistka. Zrezygnowała z kariery i ustawiła ster życia na poznawanie świata. On – z wykształcenia psycholog, z zawodu przedsiębiorca i nieustanny poszukiwacz. Mieszkał w Australii, USA, Nepalu i Indiach. Od 2012 r. podróżuje tylko tam, gdzie można poruszać się na motocyklu. Oboje od 4 lat razem tropią i dokumentują kultury, które odchodzą do przeszłości.



FOT. DOROTA WÓJCIKOWSKA, WITOLD PALAK



POLSKA NIEZNANA
Mikołaj Gospodarek

ZAKOPANE, ZAKOPANE

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Ostatnio przeżyłem ciekawą przygodę. Znalazłem się razem z turystami z zagranicy w Zakopanem. Jest niezwykle trudną i karkołomną sztuką pokazanie Tatr i uroków Zakopanego w kilka godzin. Wracając do Krakowa, ułożyłem sobie w głowie własny program wycieczki. Jaki jest mój przepis na Zakopane?

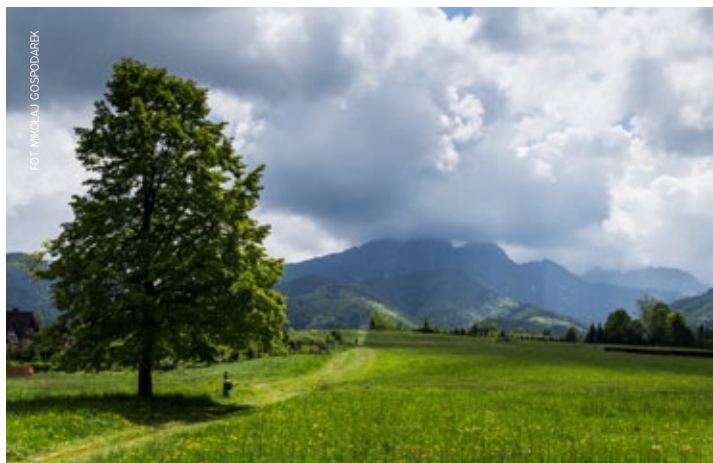
Odkrywanie piękna tego skrawka Małopolski musi mieć swoje filary. Założmy więc, że w Tatrach udajemy się pierwszy raz w życiu albo jesteśmy ciekawskimi turystami zza oceanu. Wiadomo, że najbardziej zainteresuje nas to, co nowe i niespotykane. Naszymi filarami będą: góry, architektura, historia i coś dla podniebienia, czyli oscypki. To właśnie te cztery rzeczy przyciągają turystów. Zakopane jest też specyficznym miastem. Główna ulica, Krupówki, rozciąga się na takiej długości, że trudno wyznaczyć jej punkt centralny. Plac pod Gubałówką z roku na roku ewoluuje ku zachodnim wzorcom. Pozostała część miasta jest na tyle rozległa, że staje się niedostępna dla przeciętnego turysty. Trudno tutaj doszukiwać się idyllicznego klimatu z alpejskich miasteczek. Okazuje się więc, że będzie trzeba ograniczyć się do Krupówek. Czy tam jednak można zobaczyć piękną architekturę drewnianą tego regionu? Niestety nie. Jeśli jednak odejdziemy lekko na bok ul. Kościeliską,

już po paru krokach dotrzemy do kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej i cmentarza na Pęksowym Brzyzku. Przepiękne wnętrza kameralnego kościoła, a tuż obok miejsce wiecznego spoczynku najbardziej zasłużonych dla regionu. Obok typowych płyt nagrobnych można tutaj zobaczyć arcydzieła rzeźby. To właśnie tu w idealny sposób jest pokazana piękna tradycja i kultura Podhala.

Idziemy dalej i po paru krokach docieramy do Muzeum Styli Zakopiańskiego im. S. Witkiewicza. To bardzo ciekawa ekspozycja, która opowiada przepiękną, wielowiekową historię tych terenów.

Ikoną Tatr jest Giewont. Góra piękna i, wbrew pozorom, trudna do zobaczenia w pełnej krasie. Jej piękno można podziwiać z centrum miasta. Codziennie miejsce przy ul. Księdza Józefa Stolarczyka

mijają setki turystów, ale mało kto odwraca wzrok w odpowiednią stronę, bo trudno pomiędzy zabudowaniami spodziewać się takiego widoku. Kiedy jednak stanie się na skraju polany, przed oczami rozpościera się widok na Śpiącego Rycerza. Moim zdaniem – jeden z najpiękniejszych i najłatwiej dostępnych. W kontrze można postawić klasyczną



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



panoramę z Krupówek z mostkiem i sztucznym niedźwiedziem.

Architekturę i kawałek historii mamy już za sobą. Kto jednak nie przyjeżdża do Zakopanego ze względu na Tatry? Wszystkim marzy się zobaczyć panoramę potężnych gór o charakterze alpejskim. Najbardziej banalną opcją będzie oczywiście Gubałówka. Widok jest piękny, ale cała otoczka – stragany, restauracje i parki rozrywki – skutecznie zniechęca mnie do podziwiania górskich panoram. Mam jednak swoje trzy miejsca, które są dostępne z samochodu i o wiele ciekawsze od gwarnej i pachnącej kielbasą z grilla Gubałówki.

Pierwszym jest klasztor ojców Paulinów na Bachledówce. To właśnie stąd rozciąga się przepiękny widok na niemal całe Tatry i, co ciekawe, stojąc niemal na wprost gór, oglądamy je pod bardzo dobrym kątem. Panorama dosłownie rozlewa się w oczach. Można dotrzeć tutaj o każdej porze roku samochodem.

Drugim miejscem, które uważam za wybitnie widokowe, jest Czarna Góra. Nie rozumiem, dlaczego za każdym razem, kiedy tam jestem, trafiam na pusty parking. Co prawda względem Bachledówki jesteśmy bardziej na wschód, ale to stąd ostre granie Tatr Wysokich są na wyciągnięcie ręki. Przy Krzyżu Milenijnym

urządzono punkt widokowy i parking. Droga dojazdowa jest wąska i momentami stroma. Do samego końca prowadzi asfalt. Widoki są oszałamiające również w drugą stronę. Można podziwiać Gorce i Pieniny. Dookoła tylko cisza i spokój.

Trzecim punktem widokowym na mojej liście jest Przełęcz nad Łapszanką. Jest to miejsce jeszcze bardziej odsunięte na wschód, ale ze wszystkich trzech położone najbliżej gór. Przy dobrej przejrzystości powietrza ma się wrażenie, że wyrastają one tuż za lasem. Wśród zielonych łąk i podhalańskiej ciszy można podziwiać majestat Tatr Bielskich i dobrze widoczną grań, ciągnącą się aż po horyzont za zachodzie.

Istnieje jeszcze dużo więcej ciekawych punktów widokowych – moje trzy mają jednak taką zaletę, że jeśli nie spadnie ogromna ilość śniegu, to są przez cały rok dostępne dla każdego. Dla mniej znanych widoków na góry można udać się w kierunku Dzianisza czy Witowa. Nawet jeśli nie trafi się na wyrrywającą z butów panoramę, to po drodze zachwyci piękna architektura zakopiańska.

Do pełni szczęścia brakuje nam jeszcze czegoś dla podniebienia. To okazuje się sporym problemem. Komerccjalizacja Krupówek sprawiła, że trudno mówić tam o kuchni zakopiańskiej. Nie oszukujmy

się – istnieje zaledwie kilka potraw, które nie występują w innych regionach. Tylko oscypek i żętyca wydają się wyróżniać. Główne ulice są usiane straganami z „serkami góralskimi”, które często nie mają nic wspólnego z prawdziwym oscypkiem. Aby spróbować tego przysmaku, najlepiej udać się do baczki. To w nich wyrabia się oscypki w tradycyjny sposób. Mam dwa miejsca, w które zaglądam – jednym z nich jest baczka w Witowie, a drugim baczka na Niżnej Palenicy Pańszczykowej. Tuż obok drewnianych chat toczy się klasyczne życie bacy i juhasów. Snujący się z komina dym jest najlepszą gwarancją świeżości ich produktów.

Czy da się poznać piękno Zakopanego i Tatr w jeden dzień? Jeśli trzeba, to się da, ale na pewno pozostanie niedosyt i chęć powrotu kolejnym razem. ○

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wraca w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.

UROKI KARPACKICH MIASTECZEK

Bartosz Król



FOT. RUSSIAN LUTVYN - SHUTTERSTOCK

Ten region to idealne miejsce dla wszystkich, którzy cenią obcowanie z naturą i urokliwymi miejscowościami bez konieczności przebywania w tłumie turystów. Najpierw będzie o Iwano-Frankiwsku, który od lat mieści się w czołówce bezpiecznych i wygodnych do życia miast Ukrainy. Jego zwiedzanie najlepiej zacząć od rynku, z niezwykle charakterystycznym ratuszem, który ma jedyną w Europie Wschodniej połączoną kopułę.



pierwotna nazwa miejscowości – Stanisławów. Przed bramą dawnej rezydencji warto zwrócić uwagę na znajdującą się tam kostkę brukową – to kamienie rzeczne, którymi kiedyś wykładano ulice znajdujące się poza murami twierdzy. Z niej samej pozostał natomiast jeden z bastionów, który jest zlokalizowany kilkaset metrów dalej. Po gruntownym odrestaurowaniu pełni on obecnie przede wszystkim funkcję centrum kulturalnego. W podziemnych korytarzach kryje też klimatyczne knajpki oraz sklepiki z pamiątkami i butiki z wyrobami artystycznymi.

KONSTRUKTYWNY

Ratusz w Iwano-Frankiwsku (dawniej Stanisławów), wzniesiony w latach 30. w stylu konstrukttywizmu. Jest on piątym z kolei, który stoi na tych samych fundamentach.

GUSTAW EIFFEL TU BYŁ

Koniecznien trzeba odbyć spacer głównym deptakiem miasta, czyli fragmentem ul. Niepodległości, który miejscowi nazywają pieszczotliwie „stumetrówką” lub „setką” (była to pierwsza w całej Ukrainie ulica przeznaczona tylko dla pieszych). Z tętniącą życiem promenadą sąsiaduje tzw. dzielnica bankowa z kilkoma intrygującymi konstrukcjami, na czele z dawnym Bankiem Mieszczzańskim i jego secesyjną kompozycją witrażową. Godnym polecenia miejscem jest ponadto plac Wicowy z muzyczną fontanną, uroczymi kamienicami i hotelem Union. W jego pobliżu jest zlokalizowany odnowiony niedawno pasaż

WIwano-Frankiwsku mieszka ćwierć miliona ludzi, lecz wszystkie najważniejsze miejsca można bez wysiłku przejść na piechotę, delektując się przy tym ciekawą architekturą oraz zielenią licznych parków i skwerów. O początkach miasta, sięgających połowy XVII w., przypominają ruiny pałacu Potockich. To właśnie od imienia jednego z przedstawicieli tego rodu wzięła się

DEPTAK NUMER JEDEN

**Fragment
ul. Niepodległości
w Iwano-Frankiwsku,
będący zarazem
ulubionym deptakiem
mieszkańców miasta
oraz pierwszą na
Ukrainie ulicą oddaną
do dyspozycji pieszym.**

Gartenbergów. Mało kto wie, że w stworzenie liczącej ponad sto lat konstrukcji był zaangażowany sam Gustaw Eiffel, który podobno przybył do miasta, aby osobiście nadzorować montaż kratownic wyprodukowanych przez jego firmę.

Iwano-Frankiwsk może się też pochwalić kilkoma okazałymi budynkami sakralnymi. Warto wstąpić choćby do dawnego kościoła farnego i dekanalnego, czyli kolegiaty pw. Najświętszej Marii Panny, z końca XVII w. W okresie ZSRR przez długi czas znajdowały się tam warsztaty ślusarskie i stolarskie oraz magazyny, obecnie mieści się Muzeum Sztuki, którego chlubą są zbiory malarstwa sakralnego. Co interesujące, to właśnie tam Henryk Sienkiewicz umieścił uroczystości pogrzebowe Michała Wołodyjowskiego.

W staromiejskiej architekturze wyróżnia się też sobór katedralny Zmartwychwstania Chrystusa. Początkowo ta barokowa świątynia

z drugiej połowy XVIII w. była kościołem jezuickim, a od 1885 r. jest kościołem katedralnym greckokatolickiej eparchii (diecezji). Pod wieczór, w promieniach zachodzącego słońca, pięknie mieni się także bryła barokowego kościoła Ormiańskiego (z połowy XVII w.), czyli soboru Ukraińskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego pw. Niepokalanego Poczęcia NMP.

Sporo ciekawych obiektów w Iwano-Frankiwsku jest wokół hotelu Nadia – jednego z najbardziej okazałych w całym mieście. To właśnie tam stoi między innymi Teatr Muzyczno-Dramatyczny. Tam też turyści zatrzymują się, aby zrobić sobie zdjęcie przy finezyjnych fontannach oraz przyjrzeć się pomnikowi Iwana Franki, wybitnego przedstawiciela ukraińskiej literatury i myśli politycznej. Na tyłach teatru i hotelu znajduje się park, będący jednocześnie starą miejską nekropolią, na której pierwsze pochówki odbywały



FOT. BLAND - SHUTTERSTOCK



FOT. BARTOSZ KRÓL

się już w 1782 r. Za sowieckiego panowania większość zabytkowych nagrobków została oczywiście z premedytacją zniszczona, do dziś przetrwały tylko pojedyncze mogiły.

NIEZŁA KOŁOMYJA

Kolejnym miastem w Karpatach ukraińskich, które zasługuje na uwagę, jest bez wątpienia Kołomyja. Pierwsze wzmianki o niej pochodzą już z 1241 r. Na przestrzeni wieków przebiegały przez nią rozmaite szlaki handlowe i wojskowe. W swoich powieściach wspominał o niej między innymi Jaroslav Hašek – twórca przygód dobrego wojaka Szwejka. Współczesne śródmieście Kołomyi na każdym kroku przypomina zresztą o c.k. przeszłości miasta.

W liczącej obecnie przeszło 60 tys. mieszkańców miejscowości warto odwiedzić choćby Muzeum Sztuki Ludowej Huculszczyzny i Pokucia. Jego zbiory liczą ponad 50 tys.

eksponatów i jest to jedyna placówka z Ukrainy wpisana do Brytyjskiej Królewskiej Encyklopedii jako muzeum światowych arcydzieł. Osobliwością na skalę międzynarodową jest także Muzeum Pisanki, w którym znajduje się nie tylko najdawniejsza pisanka znaleziona na ziemiach ukraińskich (z XVII w.), lecz także dekorowane skorupki jajek z najrozmaitszych zakątków globu – od Indii, Chin i Sri Lanki przez Algierię po Stany Zjednoczone i Kanadę. W budynku, który łatwo poznać za sprawą wysokiej na 13,5 m pisanki, można także poobserwować proces tworzenia tych wielobarwnych eksponatów.

Na trasie zwiedzania nie powinno zabraknąć również Muzeum Historii Miasta Kołomyi, z mnóstwem archiwalnych fotografii, dokumentów i lokalnych dzieł sztuki. Na długo w pamięci zapadnie zapewne wizyta w Muzeum Humoru „Wesołe Mieszkanie”, gdzie zgromadzono bogatą kolekcję poświęconą

BASTION KULTURY

Odrestaurowane podziemia dawnego bastionu w Iwano-Frankiwsku. Dziś pełnią funkcję centrum kulturalnego, mieszczą też małą gastronomię oraz sklepiki z pamiątkami.



FOT. BARTOSZ KROL



FOT. BARTOSZ KROL

CHAŁUPY PRZYKARPACIA

Kilka kilometrów od Halicza leży wieś Kryłos, gdzie znajdują się pozostałości książęcego grodu oraz skansen budownictwa rejonu Przykarpacia.

satyrze, karykaturze i komedii w różnych krajach świata.

W Kołomyi nie brakuje pięknych świątyń. Najwyższym budynkiem w mieście jest greckokatolicka katedra Przemienienia Pańskiego, przy której znajduje się Muzeum Sztuki Sakralnej. Spośród kościołów katolickich

wyróżnia się starannie odnowiony w ostatnich latach kościół jezuicki z końcówki XIX w. Na zabytkowym cmentarzu Monastyrok stoi drewniana cerkiew Zwiastowania NMP – najstarsza w tej części Podkarpacia (pochodzi z XVI w.). Obok niej wznosi się krzyż – pomnik ofiar wielkiego głodu na Ukrainie w latach 1932–33.

STĄD SIĘ WZIĘŁA GALICJA

Wiele do zaoferowania gościom ma Halicz. To właśnie od łacińskiej nazwy tego miasteczka wzięła się nazwa całego regionu Galicji. W poszukiwaniu malowniczych widoków, po przechadzce na zadbanym rynku, kroki warto skierować w stronę żelaznego mostu nad Dniestrem, z 1910 r. Po drodze mija się wówczas m.in. zabytkową cerkiew Narodzenia Pańskiego. Najcenniejszy obiekt sakralny znajduje się jednak mniej więcej trzy kilometry od centrum, we wsi



FOT. BARTOSZ KRÓL

Szewczenkowie, na terenie dawnego grodu halickiego. To cerkiew św. Pantalejmona z przełomu XII i XIII w. – jedyny zachowany zabytek architektury staroruskiej sprzed najazdu mongolskiego na Galicję w XIII w. (w wyniku późniejszej przebudowy obiekt nabrał jednak charakteru barokowego).

Halicz słynie też z Narodowego Rezerwatu Historycznego, gdzie pod ścisłą ochroną znajdują się fundamenty kilkunastu cerkwi z XII i XIII w., ponad 100 zabytków archeologicznych oraz prawie 20 obiektów ochrony przyrody. Na terenie rozległego kompleksu jest Krajoznawcze Muzeum Etnograficzne Przykarpacia, a także Regionalny Park Przyrodniczo-Krajobrazowy i Muzeum Historii Dawnego Halicza.

ROKSOLANA Z ROHATYNA

W północnej części obwodu iwanofrankińskiego warto jeszcze podjechać do Rohatyna.



FOT. BARTOSZ KRÓL

Niektórzy kojarzą to miasteczko z drewnianą cerkwią św. Ducha i jej imponującym XVII-wiecznym ikonostasem. To jedna z szesnastu tego typu świątyń w regionie Karpat, które w 2013 r. jednym transgranicznym wpisem zostały zarejestrowane na liście światowego dziedzictwa UNESCO (osiem z nich

SKARB ŚWIĘTEGO DUCHA

Słynny XVII-wieczny ikonostas cerkwi św. Ducha w Rohatyniu, który wykonali najwybitniejsi lwowscy snycerze. Obecnie świątynia stanowi oddział Muzeum Sztuki w Iwano-Frankiwsku.



FOT. BARTOSZ MIŁOŁ

W HALICZU NA DNIESTRZE

Ten malowniczy żelazny most w Haliczu pobudowano w 1910 r. Łączy brzegi Dniestru, drugiej po Dnieprze największej rzeki na Ukrainie.

znajduje się po stronie ukraińskiej i osiem po polskiej). Poza wspomnianym ikonostasem wewnątrz cerkwi nie sposób nie zatrzymać wzroku na zabytkowych polichromiach oraz równie bezcennych eksponatach sztuki sakralnej, które na przestrzeni lat trafiły tam z okolicznych kościołów.

Rohatyn to szczególne miejsce dla fanów tureckiego serialu telewizyjnego „Wspaniałe stulecie”, który w wielu europejskich krajach zyskał już miano kultowego. To właśnie stamtąd miała pochodzić Aleksandra Lisowska, lepiej znana jako Roksolana lub Hürrem, czyli konkubina, a później żona sułtana osmańskiego Sulejmana Wspaniałego. Jej imieniem jest nazwana jedna z ulic Rohatyna, jej pomnik zaś stoi pośrodku głównego placu w mieście. Przy tym samym placu z łatwością można jeszcze dojrzeć obelisk ku czci Adama Mickiewicza, stojący w cieniu późnogotyckiego kościoła św. Mikołaja z XVI w.

KIEDY ZIMOWE IGRZYSKA?

Dla wielu odwiedzających tę część Ukrainy największe zaskoczenie stanowi pobyt w miejscowościach Bukovel i Jaremche. To najważniejsze w tym kraju ośrodki wypoczynkowo-sportowe usytuowane w Karpatach Wschodnich. Ich gospodarze nie kryją ambicji, aby w niedalekiej przyszłości – wraz ze Lwowem – zorganizować zimowe igrzyska olimpijskie (pierwsze starania w tym kierunku dotyczyły 2022 r., a ostatecznie wygrał Pekin). Już teraz do dyspozycji miłośników śnieżnego szaleństwa w Bukowelu jest ponad 60 km tras, a docelowo ma być ich około 300. Dotychczas oddane 22 wyciągi zapewniają łączną przepustowość 38 tys. osób na godzinę. Zarządcy kurortu myślą perspektywicznie i dbają o jego zrównoważony rozwój, inwestując nie tylko w kolejne wyciągi, ale również w bazę noclegową o zróżnicowanym standardzie oraz parkingi wielopoziomowe.



FOT. BARTOSZ KRÓL



FOT. BARTOSZ KRÓL

W sezonie letnim Bukovel i Jaremcze stanowią wymarzone miejsce dla amatorów pieszych wędrówek i wycieczek rowerowych (w tym także downhillu, bo dla fanów adrenaliny wytyczono specjalne trasy do zjazdów). U podnóża trzech wzniesień: Bukovelu (1127 m n.p.m.), Czarnej Klewy (1246 m n.p.m.) i Dowgi (1372 m n.p.m.) znajduje się też jezioro, gdzie można korzystać z kąpieli wodnych i słonecznych, a także wypożyczyć kajak czy rower wodny. Z kolei po uiszczeniu stosunkowo niewielkiej opłaty za wstęp można spędzić cały dzień w luksusowym kompleksie Voda, gdzie na gości czeka bajkowo położony zespół basenów, barów, znakomicie wyposażonych siłowni i saun oraz strefa SPA. Warto jeszcze przy tym pamiętać, aby wygospodarować nieco czasu na wędrówkę po dziewiczych terytoriach pobliskiego Karpackiego Parku Narodowego. ○

BUKOVEL NA CAŁY ROK!

Ośrodek sportów narciarskich w Bukovelu. Latem tereny nadają się na długie spacery, a także na zawody kolarstwa górskiego.



Bartosz Król

Łódzianin, miłośnik zwierząt i muzyki rockowej. Z wykształcenia prawnik, z zawodu dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Był w 50 krajach i planuje kolejne wojaje. Potrafi docenić także piękno ojczystych stron, po których wędruje z aparatem w dłoni.

PODRÓŻE MAŁE I DUŻE

rodzinne wędrówki po karpackim pograniczu



Serce wyrwa się z piersi na myśl o trekkingu przez piękne i niezadeptane karpackie szlaki. Marzenie o malowniczych przełomach rzecznych, bogactwie fauny i flory, śpiewie ptaków i zapachu żywicy co rusz pojawia się w głowie. Szybka konfrontacja z dziecięcym płaczem najmłodszego smyka natychmiast może sprowadzić na ziemię. Pragnienia dalekich wędrówek są odkładane na kolejne lata... Czy to jednak konieczne?

Podróżowanie z dziećmi nie jest wcale tak trudne, jak mogłoby się wydawać – coraz więcej miejsc nastawionych na turystów wprowadza udogodnienia dla rodzin z dziećmi. Dla najmłodszych znajdziemy przewijaki i wygodne krzeselka, a dla starszych – specjalnie przygotowane menu. Także podczas dalekiej samochodowej trasy nie powinno być problemu ze znalezieniem ustronnego miejsca, w którym możemy zadbać o komfort niemowlaka: stacje

benzynowe wychodzą naprzeciw tego typu potrzebom. Warto też przeglądnąć oferty sklepów turystycznych i przyrzeć się akcesoriom dla najmłodszych. Oczywiście jest, że nie w każde miejsce uda nam się wjechać wózkiem, dlatego też pomocne mogą się okazać nosidélka, a nawet specjalne chusty do noszenia dzieci. Wiązanie takiej chusty może być nieco skomplikowane, ale często są organizowane warsztaty, na których można nauczyć się szybkiego i bezpiecznego ich przygotowania. Najważniejsze jest jednak pozytywne nastawienie: żadne akcesoria nie zastąpią prawdziwej chęci spędzenia czasu z dziećmi. Rodzinny piknik na karpackich łąkach może być początkiem wielkiej przygody dla najmłodszych, którą przeżyją dzięki rodzicielskiemu zaangażowaniu.

Niech weekendowa wędrówka stanie się przyczynkiem do odkrywania tajemnic żywiołów, a spacer leśnym

traktem poznawania przyrody. Inspirujące szlaki, które nie nadwyręzą małych nóżek, można znaleźć na stronie: wedrowaniebezplecaka.visitcarpathia.com. Jako marka Carpathia dokładamy wszelkich starań, aby turystyka na karpaccich terenach była okazją do zapoznania się z tymi niesamowitymi okolicami. Ważne jest, aby umieć pokazać dzieciom to, co jest najistotniejsze w życiu, żeby dzięki wędrówkom poznały naturę i dziedzictwo karpaccich okolic. Na proponowanej stronie można wybrać szlak, który będzie odpowiadał wielu kryteriom: przede wszystkim taki dostosowany do turystyki rodzinnej – niezbyt długi i trudny, z wieloma atrakcjami po drodze, o które podczas wędrówki z dziećmi zdecydowanie warto zadbać.

Ciekawym doświadczeniem dla nieco starszych pociech może być wyszukiwanie atrakcji i sposobów spędzania wolnego czasu w aplikacji mobilnej „Wędrowanie bez plecaka”. Każdy rodzic może potwierdzić, że dzieci są za pan brat z nowinkami technologicznymi. Pozwólmy im zatem podjąć decyzję i wyszukać najciekawsze dla nich miejsca.

Może akurat zapalają miłością do rzemiosła i rękodzieła. By się o tym przekonać, warto odwiedzić Zagrodę Garncarską w Medyni Głogowskiej. Tu zabawa przeplata się z edukacją i poznawaniem kultury, mali i duzi podróżnicy zaś mogą spróbować swoich sił w tworzeniu cudeniek z ceramiki. Ci z zacięciem

do innych kruszców odnajdą się z kolei w Centrum Dziedzictwa Szkła w Krośnie. Dzieci z otwartymi buziąmi będą obserwowały, jak z miękkiej żelowej struktury wylaniają się szklane stwory lub naczynia. Dorośli z kolei zapewne nie wyjadą stąd bez zakupu nowych precjozów do domowej serwantki.

Stąd już niedaleko do Sanoka, gdzie opowieści o pradziadkach można zilustrować zbiorami Skansenu Budownictwa Ludowego. Zabytkowe budynki i eksponaty mogą też stworzyć scenę znanych lub nieznaną legend i baśni. Jeśli pociechy zapalają wielką sympatią do zapoznawania się z dawnymi obyczajami, kulturą i zwiedzaniem starych chat, wykorzystajcie ten moment, aby zabrać je tuż za granicę – słowackie skanseny w Starej Lubowli i Humennem na pewno zaspokoja ich głód wiedzy!

Bajeczne może się okazać samo kojarzenie nazw miejscowych karpacciego pogranicza z ich atrakcjami i położeniem, rozpoznawanie magicznych postaci zaklętych w drzewa czy kamieniach, odkrywanie cerkwi... Otwórzcie tylko oczy, spakujcie misia i śpiwory, a świat karpaccich rubieży Was zaczaruje!



Więcej o marce Carpathia można się dowiedzieć, odwiedzając strony internetowe: www.karpacki.pl oraz www.wedrowaniebezplecaka.visitcarpathia.com.



Zbigniew Kula

ATLANTYDA PIASKÓW



Zufar, położona na południu
jedenasta prowincja Sułtanatu
Omanu, to w większości
piaszczysta pustynia i góry.

Oman od kilku lat przyciąga turystów nie tylko z sąsiednich krajów, lecz także z całego świata. Dynamiczny rozwój kraju jest związany ze złożami ropy naftowej. Oman ma do zaoferowania liczne zabytki, różnorodność krajobrazów, niezwykłą florę i faunę, przywiązanie do tradycji, wiary oraz niezwykłą gościnność.



Ar-Rab al-Chali jest największą pustynią piaskową na świecie bez form skalnych i czwartą pod względem powierzchni.

Na terenie Omanu pustynia w porze deszczowej jest okresowo zasilana wodą opadową, dlatego spotyka się na niej pojedyncze rośliny.





Na pustyni Ar-Rab al-Chali odkryto kilka zasypanych miast, a obszar ich występowania bywa nazywany Atlantydą Piasków. Jednym z nich jest Ubar, identyfikowane z mitycznym Irem, w starożytności centrum handlu kadzidłem.



Miejscowa ludność trudni się połowem ryb, a sieci wyciąga się na brzeg przy użyciu rąk lub samochodów terenowych.

Tradycyjny strój
Omańczyków
składa się z długiej
szaty nazywanej
diszdaszą, a głowy
okrywają ozdobne
chusty wiązane na
wiele sposobów.





Dolina Wadi Darbat
w porze suchej przypomina
powierzchnię Księżyca. Tylko
w czasie monsunów pokrywa ją
bujna roślinność.



Wielbłądy stanowią nie tylko o bogactwie
Omańczyków, ale są także nieodłącznym
elementem krajobrazu Zafaru.

Taqah jest typowym miasteczkiem Zufaru,
kiedyś bogatego portu eksportującego
mirrę i kadzidło.





Zbigniew Kula

Lekarz, gastroenterolog.
Odwiedził wiele krajów z grupą przyjaciół, którzy nazwali się gastroglobtroterami. Chciałby mieć więcej czasu na podróże i fotografowanie, obserwowanie natury, a szczególnie ptaków.

Nawet na jałowej ziemi bogaci Omańczycy budują duże rodzinne domy, głównie za pieniądze ze sprzedaży ropy.



ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI
Anna Szczesna

PROWADZIŁO MNIE „SKRZYDŁO ANIOŁA”

FOT. ANNA SZCZESNA

Dlaczego właśnie Korea Północna, skoro nigdy tam nie byłam i może nigdy nie będę? Ten kraj od zawsze był moją obsesją. Kiedy więc trafiłam na poruszającą historię koreańskich sierot wojennych, które w latach 50. znalazły się w Płakowicach koło Lwówka Śląskiego – opowiedzianą przez Jolantę Kryśową w książce „Skrzydło anioła”, reportażach radiowych „Osieroceni” i „Portret w czerwieni” oraz filmie dokumentalnym „Kim Ki Dok”, zrealizowanym wspólnie z Patrickiem Yoką – nie mogłam usiedzieć w domu.

choć wrocławska dziennikarka już dawno tę historię odkryła i przedstawiła światu, tak jak ona ruszyłam w drogę. Przy okazji odbyłam podróż sentymentalną do krainy dziecięcych lat. Mimo że urodziłam się w Warszawie, jestem silnie związana z Dolnym Śląskiem. To właśnie tutaj, na Ziemiach Odzyskanych, osiedli po wojnie moi dziadkowie ze strony mamy i to tutaj właśnie spędzałam w dzieciństwie prawie każde wakacje.

Nie wiedziałam wtedy, że znacznie wcześniej, w latach 1953–1959, w niedalekich Płakowicach działał tajny ośrodek, w którym przebywało 1270 dziecięcych ofiar rozpoczętej w 1950 r. bratobójczej wojny koreańskiej. Kim Ir Sen, przywódca Korei Północnej, wysyłał sieroty z tej wojny do krajów socjalistycznych, aby tam znalazły opiekę. Jednocześnie miały

się uczyć i przygotowywać do odbudowy swojej ojczyzny.

Co prawda dwustu małych Koreańczyków przybyło do Polski już w 1951 r., ale o nich wszyscy wiedzieli. Dzieci najpierw trafiły do Gołotczyzny koło Ciechanowa, później do ośrodka w podotwockim Świdrze. O ich pobycie informowała prasa, donosiła Polska Kronika Filmowa, a pisarze pisali książki. Ta sprawa była jawna, ba, wręcz rozdmuchiwana przez peerełowską propagandę. Jednak o przybyciu w 1953 r. ponad tysiąca koreańskich sierot do Płakowic opinia publiczna już się nie dowiedziała. Ich pobyt był ściśle tajny. Dziwne. Wcześniej takie wielkie halo, a tu raptem cisza. Także sam termin przyjazdu tej grupy dzieci do Polski był zastanawiający. Nastąpił zaraz po zakończeniu walk w Korei. Wtedy już dzieci stamtąd nigdzie

nie wysyłano. Tej tajemnicy na razie chyba się nie da rozwikłać.

Pamiętajmy, że wojna na Półwyspie Koreańskim formalnie trwa do dziś. W 1953 r. zawarto jedynie rozejm, a więc działania wojenne zostały tylko zawieszone. Wtedy też utrwalił się tragiczny sztuczny podział półwyspu wzdłuż 38. równoleżnika na dwa państwa: Koreę Północną i Południową. Czas pokaże, czy tym razem deklaracje ze szczytu przywódców obu Korei, który odbył się w kwietniu tego roku w strefie zdemilitaryzowanej w Panmundzombie, rzeczywiście doprowadzą do przekształcenia rozejmu w formalnie kończący wojnę traktat pokojowy.

Tymczasem wróćmy do chwili, kiedy mieli Azjaci przybyli do Płakowic. Wówczas była to jeszcze osada głęboko ukryta pomiędzy lasami Pogórza Kaczawskiego a grzbietami Wzniesień Płakowickich. Dziś to część Lwówka Śląskiego, choć trzeba przyznać, że wciąż trochę odrębna od miasta. Położona na drugim brzegu Bobru, ze specyficzną atmosferą, swoistą architekturą i bujną przyrodą, stanowi jakby osobną enklawę. Centrum Płakowic to jedno wielkie założenie parkowe, gdzie w cieniu dostojnych drzew rozciąga się kompleks ponad dwudziestu budynków, głównie z XIX w. Przeważa kamień, cegła, pruski mur, czerwona dachówka. To ładne miejsce, ale obciążone tak mroczną przeszłością, że tym razem nie skupiam się na zabytkach. Podobno kiedyś była tu wieś płaczków pogrzebowych, która znacznie później, podczas ostatniej wojny, stała się sceną niezwykle drastycznych wydarzeń.

Zacznę jednak od tego, że najstarszą z budowli jest pałac, na który mówi się zamek, choć nie ma elementów obronnych, poza symbolicznymi alkierzami. Pierwotnie otaczała go fosa, może nawet istniały wały ziemne ze stanowiskami dla artylerii. Z tego więc względu bywa klasyfikowany jako rezydencja typu *palazzo in fortezza*, czyli pałac o cechach obronnych. Ta renesansowa budowla, nazywana dolnośląskim lub lwóweckim Wawelem z racji pięknego arkadowego dziedzińca, w przeszłości była domem wielu rodów. Później, wraz ze wspomnianym kompleksem budynków, pełniła funkcję szpitala psychiatrycznego. Placówka – niemiecka, rzecz jasna – była naprawdę ogromna. Mogło w niej przebywać nawet kilkuset pensjonariuszy oraz liczny personel medyczny. Jak na owe czasy była postępową,

stosowała nowatorskie metody leczenia, a okalający ją park sprzyjał prowadzonej terapii. Niestety II wojna światowa położyła wszystkiemu kres. Podobno Niemcy przeprowadzali tu eutanazję pacjentów, a gdy nadciągała armia radziecka, personel szpitala zbiegł i chorych zostawił na pewną śmierć, samym sobie, bez opieki, przykutych do łóżek, w pozamykanych na klucz pokojach...

Już po wojnie dawny kompleks szpitalny został przeznaczony na ośrodek dla uchodźców z Grecji, którzy przyjechali w 1949 r., kiedy się okazało, że w ich kraju komuniści przegrali wojnę domową. Po nich zamieszkały tutaj sieroty wojenne z Korei, a następnie niepełnosprawne dzieci, okaleczone przez wirus polio. Obecnie działa w tym miejscu zespół placówek opiekuńczo-wychowawczych dla młodzieży i dzieci z różnego typu dysfunkcjami oraz zagrożonych niedostosowaniem społecznym. Płakowice są naprawdę nacechowane silnymi emocjami.

Dla „koreańskiej” historii jest ważne, że w latach 50. funkcjonował tutaj przystanek kolejowy, a poszpitalne budynki leżały na uboczu, odizolowane od świata, nawet od samych Płakowic. Prawdopodobnie te właśnie czynniki przesądziły o tym, że koreańscy przybysze trafili właśnie w to miejsce. Po cichu, bez zgłosu, w tajemnicy. Dzieci spędziły tutaj sześć lat. W tym czasie poznały nasz język i przywiązały się do polskich opiekunów. Były niesamowicie karne, wręcz wojskowo zdyscyplinowane i nadzwyczaj chętnie się uczyły. Zresztą nauki było wiele dla obu stron. Polscy nauczyciele nie mówili po koreańsku, dzieci nie znały polskiego. Ta bariera z czasem zniknęła, więzy się pogłębiły. I właśnie wtedy przyszło najgorsze.

Władze koreańskie w 1959 r. nagle zdecydowały, że dzieciaki muszą wracać do kraju. To był prawdziwy dramat. Sieroty wojenne, które w Płakowicach na nowo zyskały dom, za nic nie chciały wyjeżdżać. Niektóre wychodziły nawet na mróz, kładły się na śniegu, polewały wodą, aby choroba uchroniła je od wyjazdu. W niczym to nie pomogło i ostatecznie wszystkie pojechały. Z wyjątkiem Kim Ki Dok, która wcześniej zmarła z powodu ciężkiej choroby krwi.

Jeszcze przez pewien czas polscy opiekunowie otrzymywali od wychowanków listy. Niezwykle poruszające i pełne

żarliwej tęsknoty. Dzieci rozpaczliwie chciały wracać, niektóre podjęły nawet próbę ucieczki. Jedna z nich zakończyła się, niestety, tragicznie. Chłopiec, który dotarł aż do Chin, utonął na bagnach. Z listów wynika, że po powrocie do kraju większość dzieci ciężko pracowała, nawet po kilkanaście godzin dziennie. Na polach, w fabrykach, przy sadzeniu lasów, kopaniu kanałów... Raptem, po dwóch latach, korespondencja się urwała. Z filmu „Kim Ki Dok” dowiaduję się, że władze północnokoreańskie nigdy nie podały powodów jej wstrzymania.

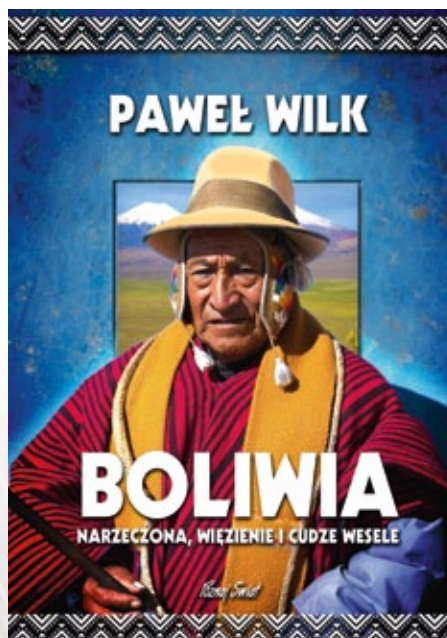
Trzy lata. Tyle czasu Jolanta Kryso-wa szukała informacji o pobycie małych Koreańczyków w Płakowicach. Mnie ta historia, bardzo wielowątkowa, trzyma

już kilka miesięcy i chyba długo nie puści. Po raz kolejny wracam do Płakowic. Znowu idę pod szkołę, do której kiedyś chodzili Koreańczycy. Długo wpatruję się w upamiętniającą ten fakt tablicę, która wisi przed wejściem. I chociaż wiem, że to niemożliwe, staram się z niej wyczytać, jak dalej potoczyły się losy koreańskich dzieci z Płakowic. ○

Anna Szczęsna

Dziennikarka, politolog, redaktor.

Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.



142 x 204 mm, 332 strony
oprawa twarda

ISBN 978-83-8127-119-6

CENA 44,90 zł

ZAMÓWIENIA: Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o.

ul. Biskupa Dominika 11 • 83-130 Pelplin

tel. +48 58 531 64 81 • kom. 662 014 683

www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl • zakupy@bernardinum.com.pl

R E K L A M A

JAZDA ROWEREM PO SZLAKU JESZCZE NIGDY NIE BYŁA TAK PRZYJEMNA

Gdy w 1972 r. zakładano firmę Giant, przyświecał jej następujący cel: stworzenie najlepszych warunków do jazdy dla wszystkich rowerzystów, na całym świecie. Dlatego firma skupiała się przede wszystkim na opracowywaniu nowych technologii, aby ten cel osiągnąć.

dostarczenie tych samych wrażeń i emocji, jakich dostarcza zwykły rower. Wsparcie silnika ma być jak najbardziej naturalne i dostosowane do aktualnych potrzeb użytkownika na trasie. Na tym właśnie polega stosowana przez Gianta Hybrid Cycling Technology (HCT) – na połączeniu siły ludzkich mięśni i napędu elek-

pojazdy Gianta wyróżnia to, że produkt jest tworzony od podstaw. Projektanci i inżynierowie przechodzą przez kompletny proces produkcji, testów i rozwoju produktu. W odróżnieniu od konkurencji Giant nie korzysta z rozwiązań OTS (ang. off-the-shelf – z półki) – gotowych i dostępnych dla wszystkich.

Przez pierwszych kilkanaście lat rynek rowerów elektrycznych zdominowały pojazdy miejskie i trekkingowe. HCT przez lata była nieustannie rozwijana i udoskonalana. Dzięki temu inżynierowie Gianta doszli do momentu, w którym zaawansowane rozwiązania konstrukcyjne umożliwiają zastosowanie napędów elektrycznych w sportowych rowerach górskich, a nawet szosowych. Z roku na rok elektryczne rowery górskie dystansują sprzedaż pozostałych kategorii.

Od kilku lat Giant współpracuje z dwoma światowymi liderami we własnych dziedzinach: firmą Panasonic, która jest największym producentem ogniw litowo-jonowych na świecie, oraz firmą Yamaha, która jako pierwsza na świecie zaprezentowała w 1993 r. gotowy system elektryczny do napędzania rowerów i która od tamtej pory ciągle udoskonala swoje konstrukcje.

Obecny silnik Yamaha, model PW-X, jest jej szczytowym osiągnięciem. Jednak modyfikacja, jaką Giant wprowadził do oprogramowania, oraz to, w jaki sposób dane są zbierane z czujników, a następnie przetwarzane, sprawiła, że parametry wspomagania są jeszcze lepsze, niż deklaruje producent silnika. Rozwiązanie udoskonalone przez Gianta oferuje aż 360% wspomagania mocy.

Współpraca z firmą Panasonic pozwala Giantowi na tworzenie akumulatorów według własnych wytycznych, dzięki czemu powstają nowe systemy wspomagania, w pełni zintegrowane z ramami. Oprócz tego akumulatory Giant EnergyPak charakteryzują się największą

Dzięki produkowaniu rowerów wszystkich typów i osiągnięciu ponad półtora miliarda dolarów obrotów rocznie Giant stał się niekwestionowanym liderem w skali światowej. Kluczem do sukcesu są dla firmy jakość, nowoczesność i innowacyjność oferowanych produktów.

Giant pozostaje liderem także w kategorii rowerów elektrycznych i technologii wykorzystywanych przy ich produkcji. W ostatnich latach można mówić o istnej rewolucji na rynku, jaka dokonuje się właśnie za sprawą rowerów elektrycznych.

Ich historia w firmie Giant sięga aż 1999 r., kiedy to powstał model Lafree z centralnym silnikiem, który zdecydowanie wyprzedzał swoją epokę. Giant jest firmą, która ma największe w branży, bo już prawie 20-letnie, doświadczenie w produkcji e-bike'ów.

Od samego początku głównym celem przy tworzeniu rowerów elektrycznych Gianta jest

trycznego w celu zwiększenia wydajności rowerzysty w możliwie najbardziej płynny sposób. Nie chodziło o tworzenie po prostu kolejnych pojazdów elektrycznych.

Kamieniem milowym było powstanie w 2005 r. fabryki rowerów elektrycznych – Giant Electric Vehicle (GEV) w chińskim Kunshan. Od innych producentów tej kategorii





gęstością, co bezpośrednio przekłada się na stosunek pojemności do masy. W rowerach Gianta znajdziemy akumulatory w trzech pojemnościach: 300, 400 i 500 Wh. Najmniejszy

z nich można naładować od 0 do 80% już w 1,5 h, co ma niebagatelne znaczenie podczas codziennego użytkowania, a także dłuższych wycieczek.



Najnowszy system Giant wykorzystujący wspomniany silnik to SyncDrive Pro, stosowany już w niektórych modelach MTB z sezonu 2017 oraz w coraz większej liczbie modeli w sezonie 2018, głównie za sprawą rozwijania oferty tej właśnie kategorii – bike'ów MTB. W pozostałych rowerach Giant stosuje systemy SyncDrive Sport i SyncDrive Life, każdy jak najlepiej dostosowany do konkretnego modelu.

Dla Giant Polska kolekcja 2017 była powrotem do rowerów elektrycznych po pewnej przerwie (spółka oferowała rowery z napędem elektrycznym w latach 2010–2013), kolekcja 2018 zaś zawiera najszerszą linię rowerów elektrycznych w historii tak polskiego dystrybutora marki Giant, jak i całej grupy. Od zwrotnych, mobilnych rowerów miejskich po wysokiej klasy terenowe – każdy znajdzie coś dla siebie. Wśród propozycji na 2018 rok pojawiły się także pierwsze modele z napędem elektrycznym siostrzanej marki Liv, oferujące rowery dla kobiet – Vall-E i Amity-E.

Niewątpliwie w kolejnych latach oferta tajwańskiego giganta będzie wciąż poszerzana, w miarę jak rewolucja e-bike'ów będzie postępować – Giant zresztą stoi na jej czele.

Lato w pełni

Wielu wykorzystuje urlop, aby aktywnie spędzić czas. Bez względu na to, czy planujemy wycieczkę w góry, wspinaczkę, rowerową wyprawę, czy spływ kajakiem, warto się zastanowić, co mogłoby nam się przydać. Może akurat jeden z prezentowanych produktów? Zdrowia i przygód na wakacyjnym szlaku!



Cena:
2 × 300 ml (ok. 70 zł)
2 × 1 l (ok. 150 zł)
www.nikwax.com

ZESTAW DLA OUTDOOROWCA NIKWAX® TECH WASH® I TX.DIRECT® WASH-IN

Łatwa w użyciu, bezpieczna i bardzo wydajna pielęgnacja do odzieży przeciwdeszczowej. Tech Wash – środek czyszczący (zielona nakrętka): bezpiecznie oczyszcza, odświeża właściwości oddychające, nie uszkadza impregnacji. Z kolei TX.Direct Wash-in to impregnat (fioletowa nakrętka). Nadaje trwałą hydrofobowość, poprawia oddychalność, optymalizuje funkcjonalność odzieży przeciwdeszczowej. Środki Nikwax są wyprodukowane na bazie wody, nie zawierają fluorowęglowodorów i gazów pędnych.

W KAŻDĄ PODRÓŻ DR.BACTY SZYBKO SCHNĄCY RĘCZNIK

Czy można się wycierać w ręcznik z poliestru i nylonu? Można, ponieważ oba materiały razem tworzą strukturę porowatych włókien. Dzięki temu wchłaniają aż cztery razy więcej wody niż ręcznik z bawełny. Ręcznik Dr.Bacty jest idealny na plażę, bo nie wchodzi w niego piasek. Wykończenie antybakteryjne Polygiene® zniweluje przykry zapach, jeśli zapomni się go wysuszyć.



Cena: ok. 20-80 zł
www.drbaity.com



Cena: ok. 550 zł
keen.pl

NIZWYKLE FUNKCJONALNE KEEN EVOFIT ONE

Zbudowane w charakterystycznym dla Keen innowacyjnym stylu EVOFIT ONE to sandały o zupełnie nowej konstrukcji. To ogromny postęp w budowaniu butów przewiewnych, komfortowych, a jednocześnie stylowych. To buty zbudowane dla jak najlepszej wydajności w każdym terenie. Charakteryzują się minimalistycznym wykorzystaniem materiału, aby współgrać ze stopą podczas ruchu. Szybko schnące i przewiewne, w sam raz na letnie wyprawy, mają cholewkę, która dopasowuje się idealnie do stopy, oferując wyjątkową wygodę. Wyściółka Cleansport NXT reguluje wydzielanie się nieprzyjemnych zapachów, dzięki czemu stopy pozostają świeże w każdych warunkach. Nowością jest ulepszony system wiązania, pozwalający na dogodne i bezpieczne dopasowanie buta do części środkowej stopy, bez niepotrzebnego ucisku.

MIERZ WYSOKO I PRZEKRACZAJ GRANICE
HAMMER ENERGY 18×9

Hammer Energy 18×9 to 5,7-calowy, pancerny smartfon z panoramicznym ekranem Full Screen HD+ IPS, zapewniającym obraz ostry jak brzytwa. Dzięki wzmocnionej konstrukcji, potwierdzonej testami na upadek, oraz najwyższemu stopniowi ochrony przed wodą i pyłem (certyfikat IP68) można zabrać go ze sobą wszędzie – na spływ, biwak, wielodniową wędrówkę czy ekstremalny wypad. Jego świetny aparat 13 Mpx z matrycą Sony doskonale uchwyci każdy moment podróży. Hammer Energy 18×9 zaskakuje również szybkim i efektywnym działaniem oraz wytrzymałą baterią 5000 mAh. Niezwykle przydatnymi funkcjami są Express Charging, gwarantujący szybkie ładowanie, funkcja powerbank, umożliwiająca zasilanie innych urządzeń, i NFC do płatności zbliżeniowych.



Cena: ok. 1000 zł
www.hammeromania.pl



NIE ZMOKNIESZ
THE NORTH FACE M APEX FLX GTX 2.0

Niezwykle miękka, bardzo lekka i wyjątkowo sucha: nowa kurtka Apex Flex GTX® to przeciwdeszczowe okrycie w sam raz na intensywne wędrówki na szlaku. Wodoodporna, oddychająca, trójwarstwowa tkanina Gore-Tex® całkowicie uniemożliwia wilgoci przedostawanie się do środka, a miękka warstwa zewnętrzna i elastyczna podszywka to gwarancja najwyższego komfortu. Bardzo lekka konstrukcja ułatwia poruszanie się w trudnym terenie.

Cena: ok. 1250 zł
www.thenorthface.eu

DLA RODZICA I MALUCHA
THULE SLEEK

Czterokołowy wózek dziecięcy dla aktywnych rodziców. Ma wszystkie atuty klasycznego wózka pojedynczego, ale można na nim również jednocześnie zamontować np. siedzisko oraz gondolę (lub dwie gondole, dwa siedziska, fotelik samochodowy i gondolę – wariantów jest kilkanaście) i wygodnie oraz bezpiecznie przewozić dwoje dzieci. Nowy produkt Thule wyróżnia się również toczącymi się praktycznie bez oporów dużymi kołami, komfortowym zawieszeniem, skutecznym i wygodnym w obsłudze hamulcem oraz całym zestawem funkcji i akcesoriów zwiększających komfort rodzica i dziecka (od pojemnego, zamykanego kosza bagażowego, przez odchylane wielostopniowo oparcie, obustronnie wentylowaną gondolę, okienko do zerkania na dziecko, aż po adaptory do większości popularnych fotelików samochodowych).



Cena: ok. 3620 zł
www.thule.com

Cena: ok. 220 zł
www.amc.com.pl



NIEZBEDNA PETZL BINDI

Ultralekka i wodoszczelna latarka z akumulatorem przeznaczona do codziennego użytku, jak: miejskie bieganie, regularne ćwiczenia, dojazdy rowerem do pracy – by widzieć i być widocznym. Ze względu na dobre światło (200 lumenów), lekkość i niewielkie gabaryty (mieści się w dłoni), bardzo dobrze sprawdza się podczas biegania. Wygodne ładowanie przez micro USB. Trzy tryby świecenia: bliski, przemieszczanie się, daleki zasięg. Czerwone światło umożliwia nocne widzenie i nie oślepia innych. Funkcja Lock chroni przed przypadkowym włączeniem. Przekręcana głowica pozwala zmieniać kąt świecenia i świecić w przód podczas noszenia na szyi. Czas świecenia: 50 h. Wodoodporność: IPX4 Zasięg: 40 m. Waga: tylko 35 g.

ULTRAKOMFORTOWE RUNNING MUND



Cena: ok. 40 zł
www.amc.com.pl

Lekkie i komfortowe skarpetki do biegania. Specjalnie opracowane dla lewej i prawej stopy. Dzięki elastycznej mikrosiatce sprawiają wrażenie drugiej skóry. Zawartość lycry zapewnia komfort, dopasowanie i stabilność kształtu. Jony srebra w materiale Drytex® Antibacterial eliminują bakterie. Wielowłóknowa struktura umożliwia szybkie i stałe odprowadzanie wilgoci przy jednoczesnym zachowaniu odporności na kurczenie i odbarwienie. Wzmocnione na palcach i pięcie. Delikatne szwy przy palcach. Skład: 56% poliestr Drytex® Antibacterial 25% Lycra® 19% poliamid, Rozmiary: S–XL (36–49). Zakres temperatur: –5°C do 25°C.

MODEL JUBILEUSZOWY CHIRUCA DYNAMIC

Jeden z najlepiej sprzedających się modeli Chiruca w wersji jubileuszowej (z okazji 20-lecia obecności marki Chiruca w Polsce, co zostało oznaczone okolicznościowym piktogramem). Cholewka jest wykonana z hydrofobizowanego nubuku o zwiększonej odporności na zabrudzenia. Jej kołnierz oraz miechowy język, który ułatwia dopasowanie buta do stopy i zabezpiecza przed wpadaniem kamieni, zrobiono z cordury, również hydrofobizowanej. Buty mają specjalne wzmocnienia na pięcie i w miejscu zamocowania pierwszego haka oraz ochronny otok na palcach. Membrana Gore-Tex® gwarantuje odporność na przemakanie z jednoczesnym odprowadzaniem potu. Podeszwy Vibram Fusion CNR zapewniają bardzo dobrą przyczepność na wielu rodzajach podłoża. Specjalne wkładki poprawiają komfort noszenia butów i usprawniają transport wilgoci ze stóp na zewnątrz. Rozmiary: 37–47, waga 650 g.

Cena: ok. 700 zł
chiruca.pl



NA KAŻDĄ DROGĘ WHYTE GLENCOE

Glencoe łączy ramę Gravel/Adventure z oponami Road Plus. Opony o dużym przekroju 650b mają ten sam obwód toczny jak układ 700c × 28c i zapewniają bezpieczeństwo nawet na najbardziej wyboistych drogach. To idealne rozwiązanie dla osób, które szukają uniwersalnego roweru na polskie drogi – czy to ścieżka rowerowa w mieście, czy boczna droga asfaltowa, czy szutrowe bezdroża – Glencoe sprawdzi się idealnie.

Cena: ok. 6000 zł
www.whyte.pl



MARMOT ALWAYS SUMMER

Śpiwór Marmot Always Summer to model zaprojektowany z myślą o osobach ceniących wygodę i niezawodność podczas letnich biwaków. Jest jednak przygotowany na to, by posłużyć w warunkach nieco bardziej ekstremalnych niż podczas pogodnych, ciepłych i suchych nocy. Podczas testowania moim pierwszym odczuciem była satysfakcja – wreszcie udało mi się trafić na śpiwór, z którym sobie radzę.

Nic się nie okręca, zamek nie wciąga materiału. Wszystko jest takie, jak bym zaprojektowała, gdyby to mnie ktoś spytał, co niezawodny śpiwór powinien mieć.

Korpus jest wypełniony naturalnym kaczym puchem o sprężystości 650 cui. Marmot szczyści się tym, że do produkcji używa wyłącznie najwyższej jakości specjalnie wyselekcjonowanego puchu. Dzięki temu produkty odznaczają się niską wagą, doskonałymi parametrami izolacyjnymi oraz świetną pakownością. Dla wszystkich sympatyków zwierzątek i szeroko rozumianej ekologii na pewno ważną informacją będzie, że zastosowany w śpiworze puch ma certyfikat RDS (Responsible Down Standard). To zewnętrzny system certyfikacji. W produktach spełniających normy RDS używa się puchu pozyskanego w odpowiedzialny sposób, od ptaków traktowanych zgodnie z najlepszymi praktykami hodowli.

Ocieplinę zaimpregnowano w technologii Down Defender™ polegającej na pokrywaniu naturalnego puchu specjalnymi warstwami impregnującymi. Pozwalają one nadać mu bardziej hydrofobowych właściwości bez spadku właściwości izolacyjnych. Jak informuje producent, testy wykazały, że naturalny puch wykonany w ten sposób pozostaje do 10 razy dłużej suchy w wilgotnym środowisku niż puch bez impregnacji, a także schnie do 30 % szybciej od zwykłego wypełnienia naturalnego oraz wykazuje dużo bardziej sprężyste właściwości przy dużej wilgotności. Dzięki temu śpiwór zdecydowanie lepiej

sprawdzi się w niekorzystnych warunkach pogodowych niż modele wypełnione tradycyjnym puchem. Mimo kilku dni niepogody z rzędu śpiwór każdej nocy wydawał się całkowicie suchy.

Newralgiczne elementy śpiwora zostały wzmocnione przez projektantów Marmot materiałem wykonanym w technologii Rip-Stop, która podnosi wytrzymałość na rozdarcia i uszkodzenia mechaniczne. Pod tym kątem nie sprawdzałam jego wytrzymałości, ale nie oszczędzałam go przy użytkowaniu jakoś szczególnie i nic się nie uszkodziło. Ponadto Always Summer ma wiele rozwiązań konstrukcyjnych, które wpływają na wygodę



Cena: ok. 650 zł
www.ravenco.eu

użytkowania oraz bardzo dobre utrzymywanie temperatury. Przeszycia na całej powierzchni śpiwora i gęstość rozmieszczenia komórek sprawiają, że nie zauważyłam żadnego nadmiernego przemieszczania się i zbijania puchu w jednym miejscu. Dodatkowo często sprawiające problem miejsce na stopy zostało zaprojektowane w sposób zapewniający anatomiczne dopasowanie (tzw. Wrap-Around FootBox). Szczególnie docenią je osoby, które mają problemy z marznącymi kończynami. Głęboki kaptur (Nautilus Multi-Baffle Hood) również jest dość ściśle dopasowany, a dzięki ściągaczowi można dostosować go do różnych rozmiarów głowy i preferencji użytkownika.

Śpiwór ma małą wewnętrzną kieszonkę na najważniejsze drobiazgi.

Niech podniesie rękę ten, kto nie obudził się nigdy z telefonem w okolicy stóp...

Standardowo do śpiwora są dołączone dwa worki – jeden transportowy, drugi do przechowywania, ale ma także wiele pętelek, dzięki którym można powiesić go w celu przewietrzenia, przesuszenia lub po prostu przechowywania. Testowany przeze mnie model Regular jest odpowiedni dla turystów o maksymalnym wzroście 183 cm, więc przy moim niewiele ponad 160 cm miałam tam jeszcze sporo przestrzeni, aczkolwiek nie wpłynęło to negatywnie na odczuwalny komfort cieplny. Śpiwór występuje również w większym rozmiarze – Long, dla osób o maksymalnym wzroście 198 cm.

Zgodnie z normami europejskimi (EN 13537) według informacji podanych na produkcie zakresy temperatur wyglądają następująco:

Temperatura komfortu, czyli najniższa, w której użytkownik śpiwora, w pozycji zrelaksowanej (tzn. na plecach), nie czuje zimna: 4,9°C.
Limit / Tolerancja – najniższa temperatura, w której użytkownik w lekko podkurczonej pozycji (tzn. na boku z kolanami podciągniętymi ku górze) nie czuje zimna: -0,1°C.

Temperatura ekstremalna – przy której użytkownikowi nie grozi niebezpieczne dla zdrowia wyziębienie ciała i hipotermia: -15,7°C.

Waga całkowita produktu (wraz z pokrowcem) to ok. 813 g.

Śpiwór Always Summer marki Marmot to idealne rozwiązanie na biwaki podczas cieplejszych dni w roku. Nie miałam okazji testować go podczas zimnej nocy, więc nie jestem w stanie ocenić wygody przebywania w nim gdy na zewnątrz jest poniżej 5°C. Jednak do tej temperatury, nawet przy deszczowej aurze, sprawdził się idealnie. Podejrzewam, że w okresie letnim podczas wyjazdów plenerowych związanych z nocowaniem w śpiworze, będziemy nierozłączni.

Test: Ewa Miedzińska





Człowiek mucha

Feliks Nazarewicz był znanym akrobatą okresu międzywojennego. Pochodził z Krakowa i słynął z niebezpiecznych, intrygujących wyczynów. Zwykł wspinać się po fasadach różnych budynków bez asekuracji i pomocy lin czy haków, używając do tego wyłącznie rąk i nóg. Akrobata wkładał też zwykły, codzienny strój – zupełnie jakby wybrał się na zakupy, a nie na wspinaczkę po fasadzie kilkupiętrowego budynku. Nazarewicz cieszył się dużą sławą nie tylko w Polsce, ale i za granicą. Przed każdą ekstremalną wspinaczką artysta informował o planach policję oraz straż pożarną, a wieść o jego nadchodzącym pokazie trafiała do prasy, szybko roznosiła się po okolicy i ściągała na miejsce występu wielu zainteresowanych. Pokazy zazwyczaj nie były darmowe, ale gapie nie wahali się za nie płacić, bo widowisko było emocjonujące. Zejście ze zdobytego „szczytu” zazwyczaj odbywało się w bardzo spektakularny sposób, gdyż ku uciesze obserwatorów, Nazarewicz zeskakiwał na rozłożoną przez strażaków płachtę. Swoimi niesamowitymi umiejętnościami zapracował na miano człowieka muchy. Podobną sensację wzbudzały występy Stefana Polińskiego. Niestety, w czasie jego pokazu we Lwowie zdarzył się tragiczny wypadek. Podczas przechodzenia po linie zawieszanej między dwoma budynkami pozbawiony jakiegokolwiek asekuracji akrobata stracił równowagę, spadł na ziemię i zginął na miejscu.

Na zdjęciu: Feliks Nazarewicz na iglicy w Krakowie (w tle dom „Pod Globusem”), 1928 r.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



IRAN – JESZCZE SIĘ TAM OGIEŃ ŻARZY



MAROKO – ROZMOWY NA SAHARZE ZACHODNIEJ



MADERA – ZIELONA PERŁA ATLANTYKU

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek

katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Sekretarz redakcji

Anna Krysztofiak
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy

Ryszard Badowski, Anita Demianowicz, Łukasz Długowski,
Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski,
Marcin Kołpanowicz, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć,
Jerzy Nowiński, Tomasz Owsiany, Anna Szczesna,
Magdalena Zelewska, Magdalena Żelazowska

Grafika, skład i przygotowanie do druku

Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

Patronaty medialne

Martyna Bulba
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

Korekta

Joanna Lewandowska

Adres redakcji

80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo

Probiez Leasing sp. z o.o. sp. k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych

Beata Pernak
pnummerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA

numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA

mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA



facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Marketing i reklama

marketing@poznaj-swiat.pl

Reklama outdooru

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata

Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

Polski Caravaning

*Podróż przecież nie zaczyna się
w momencie, kiedy ruszamy w drogę,
i nie kończy, kiedy dotarliśmy do mety.*

Ryszard Kapuściński



Zaprenumeruj 6 wydań za 75 zł

prenumerata@polskicaravaning.pl, tel. 58 777 01 25-28 wew. 308, tel. 604 407 079

www.polskicaravaning.pl



BINDI

Miejska, aktywna,
zawsze gotowa do wyjścia na trening.

**Ultralekka latarka czołowa z akumulatorem,
przeznaczona do codziennego treningu biegowego.**

BINDI jest ultralekka i kompaktowa, waży tylko 35 g i mieści się w dłoni. Dzięki dużej mocy światła i szybkiemu ładowaniu przez USB jest idealna do codziennego użycia, regularnych treningów w mieście i w plenerze. Cienka opaska ma łatwą regulację i umożliwia wygodne noszenie latarki na wiele sposobów. 200 lumenów. www.petzl.com



Access
the
inaccessible®